MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 11. WARSZAWA, 17 MARCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRAGICZNA KSIĄŻKA

TAKI tytuł dajemy uwagom o ostatniej książce p. Władysława Studnickiego — „System polityczny Europy a Polska" — dla dwu powodów. Po pierwsze widzimy w niej konflikt między założeniami a wnioskami. Po drugie musimy stwierdzić, że dzieło, w które autor włożył bardzo dużo pracy, nie znajdzie żadnego resonansu w społeczeństwie.

P. Studnicki posiada poza sobą długie lata pracy pisarskiej. Z pod jego pióra wyszedł cały szereg książek ciekawych, bo zawierających myśli samodzielne i wyniki sumiennych studjów. Czyta się jego rzeczy z sympatją, bo się czuje, że są pisane szczerze i z głębokiem przekonaniem wewnętrznem – są zawsze proste i szczere. Te same cechy posiada także i ostatnia książka p. Studnickiego.

Autor chce wskazać drogę, po której — zdaniem jego — iść winna polityka polska. Metodę stosuje przy tem trafną i słuszną. Widać bowiem, iż wychodzi z założenia, że system polityczny danego państwa nie może być wytworem fantazji, nie może być dowolny, lecz musi wynikać z natury rzeczy, że jest uzależniony od warunków geograficznych, historycznych, społecznych i gospodarczych. Te czynniki stałe stawiają granice dowolności politycznej i one sprawiają, że polityka państw zachowuje w ciągu stuleci ciągłość i wyrazistość: one sprawiają, iż można mówić o misji dziejowej narodu, o jego drodze historycznej i t. p. Kto chce przeto kreślić wskazania dla polityki narodowej, ten musi poznać te czynniki stałe, musi określić i ocenić ich wagę i znaczenie, musi odróżnić rzeczy drugorzędne od pierwszorzędnych i t. d.

Polityka praktyczna musi tedy być oparta na wszechstronnej wiedzy politycznej. P. Studnicki wie bardzo dużo i przemyślał bardzo dużo. To też, jeśli chodzi o poszczególne zagadnienia, znajdujemy w jego książce dużo materjału, dużo poglądów trafnych i głębokich. Tragedję autora stanowi jednak to, że wnioski ostateczne są oparte nie na tych przesłankach solidnych i trwałych, lecz na pierwiastkach uczuciowych i z góry powziętych poglądach.

P. Studnicki urodził się na kresach wschodnich, zdaje się, że w Inflantach polskich. Nie znamy bliżej dziejów jego młodości, to jednak wiemy, że panującem u niego uczuciem jest niechęć do Rosji. Zrozumiała z pewnością i łatwa do wytłumaczenia, lecz przeszkadzająca mu w jasnem i objektywnem myśleniu o zagadnieniach politycznych. Dlatego to system polityczny p. Studnickiego nie jest rezultatem indukcji — od faktów do uogólnień, lecz jest wynikiem dedukcji z założenia ogólnego, które w dodatku ma swe źródło w uczuciach autora.

Przeczytałem uważnie jego książkę, znalazłem w niej dużo pokarmu dla myśli, dużo materjału z różnych dziedzin, lecz doprawdy nie mogę się dopatrzeć w niej uzasadnienia tezy politycznej p. Studnickiego. Teza ta jest prosta i powszechnie znana: Polska powinna współdziałać z Niemcami, na sojuszu polsko-niemieckim może się wesprzeć cały system polityczny w Europie; sojusz ten ma posłużyć do odparcia Rosji na wschód i do „wyzwolenia" szeregu ludów z pod jej jarzma...

Tysiącletnie walki polsko-pruskie mało mówią p. Studnickiemu — nie chce on widzieć rzeczywi-

stości, zasłaniają mu ją jego pragnienia i wierzenia, oraz panujące w duszy jego uczucia. Ze sprawą tragicznego konfliktu polsko-niemieckiego nad Bałtykiem załatwia się krótko:

„Sprawa korytarza niema realnych podstaw w żywotnych interesach Niemiec. Dla małych Prus, składających się z trzech wycinków, nie spojonych ze sobą, osiągnięcie spójności terytorjum Prus Wschodnich z Brandenburgiem było sprawą olbrzymiej wagi, dla dzisiejszych Niemiec jest bagatelą. Natomiast dla Polski ma ogromne znaczenie swobodny dostęp do morza".

Wszystko to byłoby słuszne, pod jednym warunkiem, gdyby Niemcy uznały za „bagatelę" to, co jest tą „bagatelą" dla p. Studnickiego. Na to wszakże tymczasem wcale się nie zanosi. Dlatego to wywody p. Studnickiego przekonać nikogo nie mogą.

Podobną metodą posługuje się on, gdy mówi o polityce rosyjskiej. Znane mu są tezy, głoszące, że Rosja musi się dziś zwrócić frontem ku Azji. „Powiadają"—pisze na str. 195 swej książki—„że dziś uwaga Sowietów jest zaprzątnięta Azją, że względem Europy Sowiety są nastrojone pokojowo". I zaraz odpowiada na to tak: „Akcja Sowiecka w Azji ma na celu przedewszystkiem Europę. Przez zdobycie Azji, przez zamieszki w kolonjach Sowiety mają nadzieję, iż zadadzą cios państwom kapitalistycznym Europy..." Nie w tem czego pragną i czego spodziewają się Sowiety jest jednak sedno sprawy, lecz w tem, jaki będzie przyszły rozwój stosunków w Azji, jaka będzie polityka państw azjatyckich, przedewszystkiem Japonji. Ci, co mówią, iż Rosja będzie się musiała zwrócić frontem ku Azji, sądzą, że idziemy ku konsolidacji narodów i państw azjatyckich, co zmusi Rosję przez długie lata do skupienia całej swej uwagi na wschodzie. Pomysł opanowania narodów kontynentu azjatyckiego przy pomocy myśli komunistycznej już należy do przeszłości: dziś skupiają się narody azjatyckie pod hasłem — Azja dla Azjatów, i zwracają się przeciw Rosji (sowieckiej czy nie sowieckiej—to jest dla nich obojętne). Z konieczności staje się Rosja „przedmurzem" Europy wobec dążeń ludów azjatyckich...

I—zdaniem naszem—nie leży w interesie ani Polski, ani Europy, osłabianie Rosji w chwili obecnej lub korzystanie z jej trudności azjatyckich w chwili dla niej krytycznej. Wiem, że nikt nie przekona w tej materji p. Studnickiego, bo wnioski przez niego wyprowadzane mają swą podstawę nie w myśli, ale w uczuciu. Nie wyprowadza on tych wniosków z ugruntowanych przesłanek, lecz szuka argumentów i uzasadnienia dla swych zgóry powziętych poglądów.

Zajęliśmy się nieco obszerniej dwoma zagadnieniami. Przykładów podobnych możnaby znaleźć więcej w omawianej tu książce. Te dwa—jak sądzę — wystarczą.

Nie polemizujemy z p. Studnickim, lecz staramy się wyjaśnić, jakie są źródła jego myśli i czem sobie należy wytłomaczyć jego stanowisko polityczne. Stanowisko to tak dalekie jest od poglądów i uczuć ogółu polskiego, że nie mam żadnej potrzeby aktualnej zwalczać je ostro i namiętnie. Sytuacja p. Studnickiego jest istotnie tragiczna. Jego wysiłek, jego sumienna praca nie znajdują i nie znajdą żadnego oddźwięku w opinji polskiej.

Nielicznych i niewiele znaczących posiada on współwyznawców głoszonych przez siebie poglądów. Łudzi się p. Studnicki, jeśli sądzi, iż obecne stadjum stosunków polsko-niemieckich jest czemś więcej, niż wynikiem przemijającej konjunktury, wytworzonej przez aktualne warunki polityczne. W istocie stosunków między Polską a Niemcami nic się dotychczas nie zmieniło, nieznam też dla polityki polskiej żadnych podstaw do tego, by porzuciła drogę, po której szła znakomita większość narodu polskiego w czasie Wielkiej Wojny. Wypada też stwierdzić, że jeśli jest jakieś przesunięcie w opinji, to tylko w kierunku jej konsolidacji na podstawach wprost przeciwstawiających się tym podstawom, które w swej książce pragnie zbudować p. Studnicki.

System polityczny, w tej książce uzasadniany, jest tak daleki i obcy dla ogółu naszego, że możnaby się nią wcale nie zajmować. Jeśli to czynimy, to jedynie dla tego, by się podzielić z czytelnikiem wnioskiem, do którego nas doprowadziło sumienne przestudjowanie książki, że fakty w niej przytoczone i argumenty w niej rozwijane nie przekonały nas o słuszności tez p. Studnickiego. Jego system polityczny — jak już powiedzieliśmy—ma swe źródło w uczuciach i w zgóry danych poglądach, nie wynika wcale z natury rzeczy, z układu stosunków w Europie i z warunków życiowych narodu i państwa polskiego.

STANISŁAW KOZICKI

KRYZYS „POSTĘPU"

DZIŚ w Stanach Zjednoczonych panuje znowu przekonanie, że wszystko pójdzie dobrze. Tak przynajmniej twierdzi Collin Ross w artykule swym p. t. „Bilans rewolucji Roosevelta", umieszczonym w czasopiśmie niemieckiem „*Zeitschrift für Geopolitik*". Nastrój, panujący w Ameryce, nie jest oczywiście entuzjastyczny, ale nie jest również przygnębiony. System Roosevelta nie przyniósł tyle dobrego, ile spodziewali się jego zwolennicy, ale nie dał tyle złego, ile obawiali się jego przeciwnicy. Pod względem gospodarczym nastąpiła niewątpliwa poprawa. Ilość bezrobotnych poważnie się zmniejszyła, produkcja przemysłowa jest wyższa, nawet położenie farme-

rów jest nieco lepsze. Pozornie — pisze Collin Ross — Stany Zjednoczone są znów krajem bogatym, żyjącym wśród nadmiernego bogactwa.

Dziś jednak podstawowem zagadnieniem staje się — według Rossa — problem, jak rozwiązać powszechny nadmiar. Starają się go rozwiązać zarządzenia Roosevelta. Są one jednak bardzo powierzchowne, gdyż starają się usunąć skutki, a nie istotne przyczyny. Gdy bowiem z jednej strony rezygnowano z uprawy ogromnych terenów lub zaorywano tysiące hektarów pszenicy i bawełny, z drugiej strony w odległości niewielkiej intensyfikowano produkcję lub dokonywano kosztownych meljoracyj.

Istotą kryzysu amerykańskiego, jak zresztą i kryzysu w innych krajach, jest kryzys cywilizacji zachodniej, a biorąc węziej, kryzys idei postępu, będącej właściwą religją XIX wieku. Najważniejszem zadaniem do rozwiązania jest — według Rossa — przystosowanie nadmiernej produkcji do potrzeb krajowych, przy sprawiedliwszem, niż dotychczas podziale dobrobytu. Problem polega na tem, że rolnictwo amerykańskie mogłoby zaspokoić w zakresie środków żywności, paszy i surowców włókienniczych nietylko potrzeby Ameryki, ale również Europy, że przemysł amerykański jest w stanie zaspokoić potrzeby krajowe powiększone czterokrotnie, że wszystkie potrzebne do tego surowce znajdują się w kraju. W ten sposób Stany Zjednoczone są już nietylko kontynentem, ale niemal odrębną planetą. W ten sposób problem amerykański zwęża się — zdaniem Rossa — do problemu, w jaki sposób najszybciej można zmniejszyć produkcję amerykańską, zarówno przemysłową i rolniczą oraz jak zatrudnić ludzi, którzy na skutek tego zostaną wyeliminowani z procesu produkcyjnego.

O ile Stany Zjednoczone utracą na stałe rynek światowy dla zbytu produkowanych przez siebie artykułów rolniczych — co zdaniem Rossa już nastąpiło — to są w stanie pokryć własne zapotrzebowanie przy pomocy połowy dotychczas zatrudnionych rodzin farmerskich, uprawiając dwie trzecie terenów dotychczas uprawianych. Źródłem tego jest nietylko utrata rynków dla eksportu, ale również dokonana w ciągu ostatniego dziesięciolecia intensyfikacja rolnictwa oraz zmiana w odżywianiu się, polegająca na częściowem zastąpieniu mięsa wołowego i pszenicy przez świninę, oraz jarzyny i owoce, które w stosunku do uprawnej przestrzeni dają więcej kaloryj. To samo dotyczy przemysłu. Gdy ustanie dotychczasowe ożywienie, które — zdaniem Rossa — zawdzięczać należy prawie wyłącznie zamówieniom rządowym, 15 miljonów robotników zostanie wyrzuconych na bruk.

Gdy tak spojrzymy na problem amerykański, stanie się jasnem, że jest konieczną zasadnicza zmiana, nietylko amerykańskiej polityki gospodarczej, ale również charakteru narodowego Amerykanina, jego dotychczasowej wiary i światopoglądu.

Trudno się więc dziwić, że próby zasadniczego rozwiązania są bardzo ostrożne. Za taką próbę można uważać zarządzenia, zmierzające do zmniejszenia obszarów uprawy. Zakończyłyby się one — zdaniem Rossa — całkowitem niepowodzeniem, gdyby nie katastrofalna susza, która w poważny sposób zmniejszyła tegoroczne urodzaje. Tam, gdzie, jak na południu, zawiodła susza, tam zawiodły również zarządzenia, mające ograniczyć produkcję. Tak więc ograniczono częściowo obszar uprawy bawełny przez zaorywanie zasianych przestrzeni, do 30 miljonów akrów, wobec dotychczasowych 41 miljonów akrów. Farmerzy zużyli jednak otrzymane subwencje na zakup nawozów sztucznych i zdołali podnieść plon z akru z 174 funtów na 209. W rezultacie cała akcja kosztowała w 1934 r. około miljarda dolarów, a zniżka produkcji bawełny jest bardzo nieznaczna.

Ideologja amerykańska, która musi być dziś gruntownej poddana rewizji, jest wynikiem historycznego rozwoju Stanów Zjednoczonych. Na kontynencie bowiem północno - amerykańskim najbardziej ortodoksyjni wyznawcy purytańsko - kalwińskiego światopoglądu, uznającego pracę i zdobywanie pieniędzy, za naczelny praktycznie cel życia, natrafili na warunki, które wymagały najbardziej wytężonego wysiłku. Pierwsi koloniści mogli się utrzymać przy życiu tylko przy najbardziej wytężonej pracy i oszczędności. Ponieważ ich światopogląd zabraniał im nadmiernego zużywania owoców ich pracy, przeto zmuszeni byli do ciągłego powiększania swego aparatu produkcyjnego. Kryzys byłby nastąpił już wcześniej, gdyby nie wojna światowa, która dała ogromne pole wywozowi amerykańskiemu. Dopiero po wojnie światowej produkcja amerykańska, rozszerzona jeszcze gwałtowniej podczas wojny, zaczęła tracić rynki zewnętrzne. Bezpośrednim powodem tego było przekształcenie się Stanów Zjednoczonych z państwa dłużniczego na państwo wierzycielskie oraz polityka celna, uniemożliwiająca import obcych fabrykatów do Stanów Zjednoczonych.

Utrata rynków obcych i zahamowanie eksportu musiało zakwestjonować ideje stałego postępu, wyrażającego się w ciągłem zwiększaniu produkcji, co jest istotną cechą składową światopoglądu amerykańskiego.

Powstaje bowiem pytanie, poco ten ustawiczny postęp, poco ten nadmiar towarów? Zanim jednak da się zmienić nastawienie psychiczne Amerykanina, przekonać go, że produkcja służy zaspokojeniu potrzeb, a nie ma na celu osiągania coraz większego zysku, pozostają jako paljatywy, mające zapewnić funkcjonowanie życia gospodarczego, bezcelowa praca, planowe ograniczanie pracy i planowe niszczenie wyprodukowanych towarów. Jedynie te paljatywy wywołują obecną, pozorną konjunkturę gospodarczą. Ale wymagają one kolosalnych wydatków ze strony państwa. Dziś już co dwudziesty pracownik otrzymuje płacę z funduszów państwowych, a 40% dochodu narodowego wypłacane jest przez państwo. Wymaga to kolosalnych wydatków, pokrywanych przez dewaluację dolara i ogromne zwiększenie zadłużenia państwowego.

Dotychczasowa więc polityka może trwać przez czas ograniczony. Gdy zaś brak środków na jej finansowanie zmusi do jej zaniechania, wtedy w całej jaskrawości staną Stany Zjednoczone przed koniecznością dokonaniu przewrotu w całem życiu społecznem, przewrotu trudniejszego i bardziej radykalnego, niż w innych krajach. Czy naród amerykański okaże się zdolnym do tej przemiany pokaże dopiero przyszłość.

J. N.

SZLACHTA POLSKA POCHODZENIA ŻYDOWSKIEGO

KARDYNALNEM zagadnieniem dziejów naszej przemiany społecznej i wogóle naszych dziejów lat ostatnich, od r. 1764 począwszy — jest sprawa rodzin szlacheckich pochodzenia żydowskiego. Rachując ostrożnie (tylko niezbicie żydowskie rodziny) jest takich rodzin 89, a większość z nich została nobilitowana po roku 1764 lub w tym właśnie roku na sejmie koronacyjnym Stanisława Augusta.

Czasy przedstanisławowskie szlachty pochodzenia żydowskiego niemal nie znały, skoro ich liczbę w tym czasie ustalić można na zaledwie 5, przyczem wszystkie nobilitowane na samym początku XVI-go wieku, więc dawno już spolszczone, a jeśli chodzi o jedną z nich: Oszejków herbu Merawy, to ich nobilitacja jest jeszcze o parę lat wcześniejsza i sięga czasów Olbrachta. Z rodzin tych największy rozgłos zyskali Abramowiczowie herbu Jastrzębiec, wpływowi klijenci Radziwiłłów, ród zajmujący senatorskie krzesła i spokrewniony z arystokracją polską. Jako gorący kalwiniści, zasłużeni wielce dla tej sekty, mogli dzięki związkom kalwinizmu ze Starym Zakonem dłużej zachować pierwiastki semickie w swej psychice i nie roztopić się odrazu w polskości — jest to sprawa szczególnie ciekawa.

Didier i Rolicki są, co do ilości przedstanisławowskich rodzin szlacheckich pochodzenia żydowskiego, odmiennego odemnie zdania. Sądzę jednak, że zachodzi tu pewne przecenienie znaczenia art. 8 Statutu Litewskiego, głoszącego że: „Jeśliby który żyd lub żydówka do wiary chrześcijańskiej przystąpili, tedy każda taka osoba i potomstwo ich, za szlachcica poczytani być mają". Przepis ten bowiem prawnie pozostał martwą literą wobec zawarowania prawa nobilitacyj sejmowi i całego szeregu uchwał, utrudniających nabywanie szlachectwa. Jeśli zaś chodzi o wślizgnięcie się szeregu żydów w szlachtę *via facti*, drogą różnych nadużyć, albo nawet i prawnie, choć bez nobilitacji przez następującą po chrzcie adopcję, to trzeba zawsze pamiętać, że to były fakty naogół wyjątkowe, odosobnione, a wobec niechętnego stanowiska szlachty dosyć trudne, czasem nawet niebezpieczne, zwłaszcza dla żyda. Dodać też należy, że droga adopcji znikała jako legalna od czasu (z połowy XVII wieku) konstytucji, orzekającej, że adoptujący nie-szlachcica traci szlachectwo. Znana „*liber chamorum*", spisująca rozmaitych wtrętów, żydów wśród nich nie notuje. Z tego też względu twierdzenie cytowane przez Rolickiego i Didiera za rozprawką B. Z. p. t. „Czy istnieją czysto polskie rodziny szlacheckie?", drukowaną w „Naszym Przeglądzie" w r. 1928, że „w herbarzach szlachty polskiej znajdujemy setki uszlachconych w XVII wieku rodzin neofickich" — włożę poprostu między bajki, świadomie szerzone przez żydów, którym zależy na tem, by podać w wątpliwość polskość kierowniczych warstw narodu. Wiek XVII nie szafował nobilitacjami, a i z tych już zgóry trzeba odrzucić jako w każdym razie nieneofickie, stanowiące ich większość, nobilitacje za zasługi wojenne na przedstawienie hetmanów. Co do pozostałych, to należałoby dowieść żydostwa, a nie rzucać gołosłownemi oświadczeniami. Może to jest trudne, ale bądź co bądź możliwe, najlepszy dowód z tą falangą rodzin żydowskich, nobilitowanych przez Stanisława Augusta, których się nie miesza z rodzinami polskiemi lub niemieckiemi, też uszlachconemi przez tego hojnego w tem króla.

Szlachtę polską pochodzenia żydowskiego stworzył właściwie Stanisław August, skoro na te 89 niezbicie żydowskich z pochodzenia rodzin, od niego szlachectwo dostało 75, a jeśli odliczyć nobilitowanych przez sejm koronacyjny na naleganie posłów litewskich — w każdym razie zgórą 20 rodzin, i to naogół z pogwałceniem prawa, które pozwoliło uszlachcić królowi prywatnie, bez wiedzy sejmu, tylko dziesięciu neofitów. Te kancelaryjne nobilitacje dały królowi niezły dochód, bo jak podaje Kraushar w swoim „Franku" płacono za nie najmniej po 500 dukatów, a nieraz i po 700. Nie trzeba chyba dodawać, że ta masowa nobitacja żydów w czasach stanisławowskich jest skutkiem działalności Franka, którego arcyciekawe i bałamutne losy nie są jeszcze dotychczas należycie wyświetlone.

Za Królestwa Kongresowego i później uszlachcono już niewiele rodzin, ostatnią chyba była nobilitacja Blochów, którzy w roku 1883 otrzymali herb Ogończyk z odmianą. Nie znaczy to oczywiście, żeby zagasł ruch asymilacyjny, czy dążność żydów do opanowania naszych warstw kierowniczych, ale poprostu już nie potrzebne było do tego szlachectwo.

Tak, czy owak, w biegu naszych dziejów wytworzyła się u nas dość liczna, choć znowu nie tak liczna, jak niektórzy sądzą, grupa szlachty żydowskiej z pochodzenia i dokładne zbadanie jej dziejów jest problemem palącym, gdyż nawet w razie swego całowitego w późniejszych pokoleniach spolonizowania — w swych pokoleniach wcześniejszych, całkowicie jeszcze żydowskich z ducha i krwi, wyrządziła ona Polsce bardzo wiele złego, nic właściwie dobrego nie dając.

Nie sposób tu nie zauważyć głębokiej różnicy między równoczesną asymilacją szeregu rodzin niemieckich, które masowo napłynęły do Polski za Sasów, i później z rządami zaborczemi. Ta asymilacja dała nam element bardzo wartościowy i już w pierwszem lub drugiem pokoleniu bez zastrzeżeń polski. Kolberg, Bandtkie, Helcel, Nax, Linde, Pol to wszystko najczystsi z krwi swojej Niemcy, a równocześnie nietylko dobrzy Polacy, ale i prawdziwi pomnożyciele naszej kultury.

Jakże znamienne jest, że młodzież polską w Berlinie organizował Ludwik Koehler, sądząc z nazwiska, może jakiś krewny pruskiego gubernatora Warszawy z czasów przed Jeną. To też niemieckiemi nazwiskami usiana jest poprostu nasza kultura; aż po Weyssenhoffa i Tetmajera to nazwiska nieraz pierwszorzędne.

Wręcz inaczej jest z żydami; — poza pewną liczbą zdolnych prawników, o umysłach jednak bynajmniej nie twórczo-naukowych (na wszystkich Grabowskich, Krysińskich, Jeziorańskich, tylko jeden Jan Kanty Wołowski, dziekan Szkoły Głównej wydał ceniony niegdyś „Kurs Kodeksu Cywilnego") poza ekonomistą Ludwikiem Wołowskim, piszącym zresztą po francusku i malarzami Rozenami trudno znaleść tu jakieś nazwisko głośniejsze.

Natomiast rachunek szkód — ogromny. Zestawili go pobieżnie Rolicki i Didier, nie będę go więc raz jeszcze wystawiał, tylko w imię ścisłości historycznej sprostuję pewne błędy, niejednokrotnie przez badaczy tych zagadnień powtarzane.

Więc przedewszystkiem Wojciech Turski, słynny „Albert Sarmata" nie był bynajmniej frankistą, ale pochodził ze starej rodziny lubelskiej, później osiedlonej w ziemi dobrzyńskiej, używającej herbu Rogala. Ojcem jego był Wojciech Turski, zwykły sobie posesjonat, a matką Klara z Połońskich. Młodość jego nie przedstawia nic tajemniczego, urodził się na wsi, kształcił w szkole kadeckiej i z niej dopiero wypłynął na szersze wody, Turcji wogóle na oczy nie widział. Wierząc źródłom, niema szlacheckiej, neofickiej rodziny Turskich, a fakt, że w „Neofitach polskich" Jeske-Choińskiego figuruje na stronie 99-ej jakiś Wojciech Turski, z żydów tureckich, nie upoważnia jeszcze do identyfikowania tego Turskiego z historycznym Sarmatą, czego wcale też nie robi Jeske-Choiński, co już jest wymowne. Takim hypotezom przeczą liczne dokumenty, na których oparł swą monografję Turskiego Kraushar (w zbiorze „Obrazy i wizerunki historyczne", Warszawa 1906), a których lekceważyć nie można. Zresztą mason Turski był w związkach z żydami, jak Izrael Warrens i jakiś tajemniczy Benjamin, — stąd i winy jego posunięć są jednak, w znacznej przynajmniej mierze, winami żydów, co osłabia poniekąd wielkość omyłki. Aby skończyć z Turskim, dodam jeszcze, że nawet przekazane podobizny, pokazujące nam rasową i piękną twarz, nie upoważniają do twierdzeń o jego semickiem pochodzeniu, podczas gdy z portretów takiego marszałka Jakubowskiego żydowskość aż bije w oczy.

Inna jeszcze nieścisłość, którą udało mi się dostrzec, to uważanie Jasińskich, działających na Sejmie Wielkim, za frankistów, kiedy frankistowska rodzina tego nazwiska została uszlachona dopiero w 1823 roku z herbem Złotowąż. Błąd ten pociąga za sobą to, że czytając „Zmierzch Izraela", a jeszcze więcej artykuły Didiera, np. w numerze 31 „Myśli Narodowej" z zeszłego roku, można odnieść mylne wrażenie, jakoby i jenerał był frankistą, co znowu prawdą nie jest, skoro jenerał Jakób Jasiński pochodził z kujawskiej rodziny herbu Rawicz, arcypolskiej i dobrze skoligaconej, o czem przekonać się można w monografji Mościckiego i w Bonieckim.

Wogóle, wskutek braku dokładnych opracowań w tej dziedzinie, wyrobiły się u nas: pewna szkodliwa legenda o przesadnie wielkiej ilości tej szlachty i chorobliwy zwyczaj doszukiwania się żydostwa nawet tam, gdzie nikt rozsądny by go nie szukał. Całkiem serjo np. ktoś, i to biegły w historji twierdził, że Wielopolscy, jako Bochnarowie, pochodzili z żydów i pewno gotów był jeszcze jakimś rzekomym atawizmem tłumaczyć posunięcia wielkiego margrabiego, choć te żydowskie insynuacje mają akurat tylko tyle sensu, co obwołanie za żydów powiedzmy Morstinów, czy, mających tak tęgie głowy do finansów, wygasłych już dziś, Bonerów. To są zresztą wypadki raczej odosobnione, bo trudniejsze, ale tam, gdzie nazwiska mylą, lekkomyślne oskarżanie o żydowskość jest objawem nagminnym, a skoro wśród rodzin neofickich spotykamy: Krzyżanowskich, Jasińskich, Jakubowskich, Nowakowskich, Kielskich, Brzezińskich, Górskich, Grabowskich, Matuszewskich, Pawłowskich czy Rudnickich — wynika wiele pomieszania. Znana jest historja z matką Mickiewicza — Majewską, ale nie herbu Lew żółty (frankiści), ale Starykoń, jak tego dowiódł Pigoń, o ile się nie mylę. Z tego zamieszania korzystają też oczywiście żydzi, chwaląc się kimś nieswoim lub rzucając szkodliwą potwarz.

To też jeszcze raz stwierdzić z naciskiem należy, że sprawa dokładnego opracowania dziejów tej szlachty jest paląca, a zwłaszcza sporządzenie możliwie dokładnego genealogicznego jej słownika. Taki słownik powinien być jednem z pierwszych dzieł narodowej historjografji.

KAROL STEFAN FRYCZ

NAD „NORWIDEM" WASILEWSKIEGO

I

NIE WIELE u nas bywało książek, a nie było bodaj ani jednej książki z zakresu krytyki, którąby wywołała potrzebę napisania o niej nowej książki. Dopiero „Norwid" Zygmunta Wasilewskiego zrodził taką książkę-recenzję, jaką jest prof. Stanisława Cywińskiego: „O gwiaździsty diament Norwida".

Jak wiemy, tomik Cywińskiego od początku do końca zawiera nieustanną polemikę z Wasilewskim. Ale czy rozrosłaby się do wymiarów książki ta polemika, gdyby Cywiński, entuzjasta i wyznawca Norwida, nie zadrżał, że ten Kościół, jakim dla niego jest Norwid, doznaje jakiegoś poważnego niebezpieczeństwa, a tem niebezpieczeństwem stało się wystąpienie nie jakiegoś tam drobnego niedowiarka, lecz głos herezjarchy w dużym stylu. W „Gwiaździstym diamencie Norwida" czuje się, że w odczuciu prof. Cywińskiego coś jakby zagroziło ołtarzom, z których kapłani norwidoreligji czytali dotychczas listy pasterskie swojego proroka. Na moje zrozumienie rzeczy, nie owe pochwalne recenzje, których nie szczędzono najnowszej monografji Norwida, lecz ten namiętny w obronie ortodoksji norwidologicznej atak prof. Cywińskiego stał się miarą znaczenia monografji Wasilewskiego.

Osobiście w wielu poszczególnych punktach zgadzam się z prof. Cywińskim, tam zwłaszcza, gdzie wytyka Wasilewskiemu nie dość baczne wniknięcie w katolicki światopogląd Norwida, —

nie mogę jednak przyznać mu racji w naczelnem jego założeniu, czyli w tem, co usprawiedliwiało wogóle rację jego wystąpienia aż tak obszernego: rozchodzę się z nim tam, gdzie twierdzi, że Wasilewski nie miał prawa pisać o Norwidzie, bo nie jest ani historykiem literatury ani specjalistą-filozofem.

Niema takiego dzieła rąk ludzkich czy też umysłu ludzkiego, o którem sąd należałby tylko do specjalistów. O parze butów, które kupuje się u szewca, ma sąd nie tylko ten szewc, ale i nabywca. Mogą być *lege artis* zrobione, ale mi są niewygodne. Mamy już dwa jednakowo uprawnione sądy. Mogą te buty być mocne, na schwał uszyte, ale znowu esteta wypowie się, że nie mają zręcznej linji. Mogą sprawiać miły oku widok, ale lekarz czy hygjenista zarzucą im, że tamują prawidłowy w nodze obieg krwi.

Co do literatury, to za jedno ze zubożeń jej życia uważam, że publicznie o niej wypowiadają się jedynie pisarze, historycy literatury lub filozofowie, czyli, że rzecz pozostaje ciągle tylko w cechu.

Jakże rewelacyjną mogłaby się stać książka, w którejby lekarz, zwłaszcza lekarz-neurolog rozpatrzył się w dorobkach piśmiennictwa światowego. Ileżby się wówczas wyjaśniło zagadek, o ileż więcej rozumielibyśmy, że nie tylko poszczególne akcenty emocjonalne, ale nawet sposoby patrzenia na świat, nawet ideje przewodnie dzieł literackich powstawały z typowych nacisków krzywizny duchowej, odstępstwa od normalnego funkcjonowania aparatu nerwowego. Jakżeby się taka ekspertyza przydała zwłaszcza literaturze pokolenia powojennego, pokolenia nie ze swojej winy tak zmęczonego na duchu. Znaleźlibyśmy może źródła tak nagminnego np. w naszej młodej literaturze hyperseksualizmu, przepajania wyobraźni głodem erotycznym, który przecie neurologja śledzi raczej u zużytych starców niż u młodych ludzi. Wytłumaczyłby się może ten zagadkowy kult szpetoty, który też jakąś nerwową chorobą być musi, a który tak opanowywa dzisiejszych artystów. Nie tylko neurolog, ale nawet internista mógłby wskazać w niejednem, rozchwytywanem dziś przez publiczność dziele powieściowem, jak 38 stopni temperatury codziennej dyktowały twórcy jego najbardziej fascynujące sceny.

Czy taka analiza obniżałaby w czemkolwiek godność tworzenia artystycznego? Ani trochę. Żadna analiza nie naruszy w niczem podstawowej zagadki tworzenia, tajemnicy tego: „stań się!", której to tajemnicy nie posiędą miljony najnormalniejszych ludzi, a którą rozporządzają owi wybrani neurastenicy lub gruźlicy, czasem nawet zboczeńcy. Ale analiza taka postawiłaby nam przed oczy ramy nerwo-psychiczne, w których odbywała się ta tajemnica „stań się!" — ramy, które zamykały świat widzenia twórcy, — ramy, poza które nie mógł wykroczyć.

A czy tylko głos medycyny ma coś do powiedzenia o literaturze i poezji? Jakże się naprzykład tęskni do rozprawy jakiegoś prawnika, socjologa, a choćby doświadczonego w interesaah gospodarczych praktyka, którzyby unaocznili, jakby wyglądał w autentycznem społeczeństwie obieg życia, stworzonego wedle recept powieści społecznych? A czy nie przydałoby się wysłuchać kupca lub finansisty, coby oni nam powiedzieli o „Lalce"? — Pamiętam, przed wojną jeden z kapitanów austro-węgierskiego sztabu generalnego w pogawędce kawiarnianej rozstrząsał „Trylogię" Sienkiewicza i „Popioły" Żeromskiego ze strategicznego punktu widzenia. Była to rozprawa ani trochę nie mniej zajmująca od rozbiorów czysto literackich, a znacznie bardziej sensowna i bardziej celowa od tych np. „wykresów nasilenia miłości Kmicica i Oleńki", które to wykresy wprowadzili uczeni poloniści do nauki nawet gimnazjalnej.

A gdy już mowa o polonistach i historykach literatury, to przychodzi na myśl jeszcze jedno:

Wiemy, że Kochanowski jest naprawdę kamieniem węgielnym gmachu naszej literatury, czujemy, że całe nasze ustosunkowanie się, nawet do dzisiejszego polskiego piśmiennictwa trochę inny miałoby wyraz, gdyby Jan z Czarnolasu był społeczeństwu tak znany, jak Francuzom znani są francuscy pisarze XVII wieku. Tymczasem jakże się sprawa przedstawia? Mimo wszystkie starania, mimo świetne nieraz rozprawy historyków literatury o autorze „Odprawy posłów greckich" — ani rusz nie możemy go wziąć w obieg swojej krwi. Czy nie należy przypuszczać, że gdyby obok tych szacownych, ale właśnie dla samej li tylko kasty filologów pisanych rozpraw naukowych, pojawiło się dzieło któregoś z poetów, dzieło, gdzieby czytelnikowi ukazano żywe i dziś piękno twórcy „Trenów", twórcy „Sobótek", — gdyby to napisać o Kochanowskim całym tak, jak Krasiński pisał o fragmentach Słowackiego — to czy naraz Kochanowski nie stałby się nam czemś znacznie bliższem? — No tak, ale uczeni w piśmie powiedzieliby o takiej książce to, co prof. Cywiński powiedział o „Norwidzie" Wasilewskiego: ten naiwny i nie uczony w filologji poeta nie miał prawa pisać o Kochanowskim, bo nie wiedział, który u Horacego zapożyczył sobie swój wiersz Kochanowski. Napewno zarzuconoby, że o poecie Kochanowskim nie ma prawa pisać... poeta. Nie byliby z niego zadowoleni profesorowie, bo on zbliżył Kochanowskiego do społeczeństwa nie wedle reguł nauki.

Jeżeli Norwid był tylko sumą oderwanych idei, to oczywiście krytyk typu Wasilewskiego nie wiele miał do powiedzenia o Norwidzie i nawet niepotrzebnie czas tracił na badanie jego dzieł. Ale jeżeli Norwid był pozatem żywym człowiekiem i na swój sposób produktem swoich czasów i swojego narodu, to Wasilewski o nim odezwać się nie tylko miał prawo, ale i obowiązek, bo nikt tak, jak on, do tego nie jest wewnętrznie przygotowany.

Nikt z nas, krytyków literatury, w takim stopniu, z takiem rzadkiem czuciem rzeczy i z taką doskonałością zobrazowania nie potrafi widzieć narodu, zamkniętego w soczewce indywidualnego człowieka.

Nie dla prof. Cywińskiego oczywiście, ale dla wszystkich świadomych czy bezwiednych internacjonalistów Wasilewski jest niepożądaną pozycją w piśmiennictwie za to właśnie stawianie zasady narodowości w dziejach tworzenia się sztuki.

Nie ulega wątpliwości, że bezlice plemienne licznych dziś u nas utworów literackich dopoma-

ga im znakomicie w powodzeniu. Internacjonalizm lub anacjonalizm w sztuce dogadza nerwom wszelakich neurasteników, bo internacjonalizm lub anacjonalizm jest negacją całej dotychczasowej polskiej literatury, a neurastenik najlepiej się czuje w przeczeniu. Internacjonalizm, jako *novum*, podoba się tym wszystkim, którzy jedyne kryterjum sztuce stawiają: by sztuka ta była inna, w porównaniu ze sztuką dawną. Może być nawet znacznie gorsza, byleby tylko była inna. Podłoże narodowe tworzenia nie może odpowiadać sercom, ciągnącym ku bolszewizmowi. Nie może w postulacie polskości czuć się dobrze pisarz semita, wypowiadający się mową polską tak, jak np. Yeats wypowiadał się po angielsku, choć w języku angielskim świadomie odtwarzał światopogląd irlandzki. Niepożądaną więc pozycją piśmiennictwa jest Wasilewski, który jednak przypomina i niezbicie dowodzi, że każdy u nas wielki i trwały twórca był zawsze organizacją, w której naród mógł odnaleźć wierne swoje odbicie.

Oczywiście nie byłby Wasilewski badaczem sztuki, gdyby zasadę narodowości przykładał do twórczości literackiej sposobami polityki czy socjologji. I wiemy też, wielokrotnie to podziwialiśmy, z jakiem jasnowidzeniem, z jakiem różdżkarstwem psychologicznem wyczuwał on najtajniejsze, najgłębsze drgnienia w duszach twórców. Nie wiem, czy jest drugi u nas krytyk, któryby tak umiał dojść do osnownej nici w najzawilszej tkaninie uczuciowej artysty. I tu jest Wasilewski poetą.

Różdżka, która tak nieomylnie wykrywa podziemne źródła twórczości, nie zawodzi Wasilewskiego wtedy, gdy dane mu jest przekonać się, że źródła owe spoczywają w złożach psyche narodowej danego twórcy, w tem, co ten twórca ma w sobie z przeżyć historycznych Polski lub z rasowych Polaka pierwiastków. Jeżeli przy badaniu Norwida popełnił jaką omyłkę, to nie tę, że wielokrotnie ufał swojemu instrumentowi różdżkarskiemu, za co mu takie gorzkie zarzuty stawia prof. Cywiński, lecz że w innych wypadkach odkładał nabok ten swój „prymityw" rozpoznawczy, że chciał właśnie sposobami historyczno-literackiemi objąć Norwida: — sprzeniewierzył się wyjątkowej swojej intuicji — i dlatego „pomiary" naukowe w jego rękach może mu Norwida przedstawiły nieco opacznie, właśnie tam, gdzie „różdżka" możeby wykryła mocny, choć odmienny np. od Mickiewicza, kontur rasowo-polski Norwida.

Typ badawczy Wasilewskiego, czy chce tego, czy nie chce, zawsze w rezultacie zbliży nam obserwowanego twórcę.

— Ależ Wasilewski chciał właśnie Norwida nam oddalić! — może mi tu ktoś odpowiedzieć:— bo cała jego książka jest nawskroś chłodno, jeśli nie wrogo wobec Norwida nastawiona.

Co za nieporozumienie! Nigdy nie miałem tak piekącej potrzeby przeczytania sobie jeszcze raz Słowackiego, jak po „nieżyczliwej" monografji Tretiaka. Jestem też upewniony, że dopiero po „Norwidzie" Wasilewskiego wielu ludzi zacznie poznawać autora „Quidam", bo po raz pierwszy u nas Wasilewski dopiero zajął się Norwidem, jako człowiekiem.

Przy wszystkich poprzednich egzegezach i liturgjach norwidologicznych, dzieła tego poety wyglądały, jakby pochodziły znikąd. Nikt nam nigdy nie postawił przed oczy tego laboratorjum, gdzie się krystalizowały „gwiaździste diamenty". Nie znaliśmy ani tych retort, w których do formy dochodziły, ani tych składników, z których powstawały, ani osoby, która składniki w retortę wkładała i magiczne znaki nad ich: „stań się!" czyniła. Norwid był Żelazną Maską w Bastylji zamkniętego uwielbienia. Wasilewski pierwszy zdjął tę ciążącą maskę z oblicza Norwida.

(Dok. nast.) ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

MIASTO STWORZONE PRZEZ WIEŚ

(Dokończenie)

TAKIE jest oto nasze miasto. Nieporządne, ubogie i zamarłe, jak mówią jedni. Piękne, dostojne i miłe, jak czują inni. Co o niem powiemy dzisiaj? Skąd zaczniemy oglądać Wilno, zaklęsłe między zielonemi wzgórzami w kotlinie dwu ślicznych rzek, najeżone smukłą strzelistością kościołów, niby kolumnowemi topolami rozłożystego dworu?

Nie śpieszmy do wnętrza. Stańmy na chwilę u progu. Poufała pieszczota niezawsze oznacza miłość największą. Kochanek rad odchodzi od umiłowanej kobiety na odległość wzroku, by stamtąd ogarnąć ją całą zachwyconemi oczyma, nacieszyć się widokiem jej postaci, kroczącej na gobelinowem tle pejzażu cudną zjawą harmonji i wdzięku. A wtedy ramiona zapominają o gorących uściskach, by się rozewrzeć i wznieść w porywie beznamiętnego uwielbienia.

Wilno umieściło się wśród swoich gór, tak właśnie, żeby dać oczom patrzącym — dystans uwielbienia.

Spójrzmy na nie zdaleka. Pójdźmy od okolicznych dróg, wijących się po północno-wschodnich wzgórzach, od pięknej, a fatalnej bramy wypadowej, skąd przez tyle stuleci przychodziły moskiewskie najazdy.

Od wschodu — czy to idąc falującą wstęgą kalwaryjskiego traktu, czy wyżynnym grzbietem wiłkomirskiego gościńca, czy też drogą żelazną, wiodącą od Nowej Wilejki mimo Rekanciszek szeregiem prześlicznych dolin i pagórków — ujrzymy na chwilę mgławą fatamorganę kotliny wileńskiej, otuloną leśnemi wyniosłościami, ujrzymy sinozłociste morze, po którem, jak maszty wielkiej flotylli, pływają iglice kościelne w przesłonecznionej kurzawie. Ale niebawem miasto zniknie za wypukłemi kulisami przydrożnego krajobrazu. Ogarnąć wzrokiem całe Wilno można tylko od północy, zbaczając z wiłkomirskiego traktu na obłe tarasy gór Szeszkini za Sołtaniszkami. Stamtąd w wieczornem oświetleniu rozciąga się widok przedziwny, jakgdyby żywcem wzięty ze sztychu lub akwareli z XVIII wieku. Miasto wydłuża się zygzakowatą, ostrokończastą masą, świecąc w zachodniem słońcu równianką białych świątyń i wieżyc.

Oglądamy całe Wilno, dalekie i drobne, jak w srebrze wykuty model, ustawiony na dłoni olbrzyma. Domów prawie nie widać; toną w zwartem nagromadzeniu drzew i tworzą ogólne tło, z którego wyrasta jasny tłum świątyń, niby rząd dłoni, modlitewnie wyciągniętych do nieba. Ale w tem wzniesieniu niema ani rezygnacji, ani rozpaczy: wieżyce, jak białe ręce kobiet i dzieci radośnie prężą się w błękitny przestwór, z ufnym spokojem oczekują jego wyroków i trwają w słońcu, szczęśliwe swoją świetlistością. A na pierwszym planie tego obrazu rysują się zbożowe pola i małe domki przedmieścia tulą się do wyokrągleń lipowej gąszczy. Słowem — istny sztych z albumu Wilczyńskiego. Braknie tylko obramienia z klasycznym, drobnolistnym jesionem i z kontuszowym sztafażem, by się przenieść o sto lat wstecz, do czasów, gdy niestrudzony doktór Wilczyński, jeden z pierwszych miłośników Wilna, sztychował jego widoki w paryskich zakładach słynnego Lemercier'a.

Płaskowzgórza Szeszkini przechodzą za Sołtaniszkami w lesiste wyże, łączące się z Karolinkami. Ze szczytu któregoś widzimy znowu miasto, odsunięte jeszcze dalej i jeszcze bardziej zmalałe, ale zato ozdobione wspaniałym łukiem Wilji, wciśniętej między sosnowe bory Zwierzyńca i Zakrętu. Wyrastają coraz nowe wzgórza, jakgdyby po to, by ukazać z lotu ptaka w coraz nowej postaci miasto, obrzeżone błękitnym szlakiem rzeki, podmalowane ciemnym granatem lasów, dotykająch miasta; jakgdyby po to, by dowieść, że Wilno i pejzaż okoliczny stanowią całość, niewiele różniącą się gatunkowo. Jeszcze krok na zachód — i rozpiętrzą się niewiarogodną fantastycznością terenu Karolinki, urwiste wąwozy i dębowe wzgórza, uśmiechnięte, zaciszne dolinki i powabne, miękkie tarasy, rozsypane po tym bożym zakątku z niewymowną szczodrością i ukazujące to perspektywę różowiejącego o zachodzie miasta, to zielonomodre skręty Wilji. Wilja tutaj już zapomniała o mieście i płynie cichą samotnicą w wspaniałych brzegach lasu zakretowego, aż się nie wydostanie na otwartą równinę Leśników i Doliny, wiodącą hen ku górom ponarskim. Miejscowość ta mogłaby się zwać Doliną Cichej Radości: jej wdzięczny układ, oglądany od ponarskiego podgórza, raduje oczy, jak słoneczna pieszczota. Szeroko, zielono i malowniczo rozkłada się prałożysko rzeki, a środkiem przewija się połyskliwym wężem Wilja. Krąglą się jej nadobne rozploty, opływają jakieś zagaje, pola i osiedla, odbijają w swem lustrze pogodne obrazy nadbrzeżne, kładą do ust słowa zachwytu nad pięknem świata, oglądanego — zdaleka i zgóry... Nie psujmy sobie tych chwil zastanowieniem, czy zbliska świat nie wyglądałby inaczej. Niechaj dystans perspektywy pozostanie — dystansem uwielbienia.

Niepodobna wyliczyć wszystkich wyniosłych punktów podmiejskich, dających możność ogarnięcia szerokim rzutem oka uroczej kotliny wileńskiej i tworzących ów nieustanny „dystans uwielbienia". Śmieją się do niej oczy, ramiona wznoszą się z żarliwem powitaniem, usta szepcą słowa serdeczne i tkliwe, dusza nie może zmieścić radosnej świadomości, że to wszystko wokoło jest takie swoje, takie jedyne, najpiękniejsze na świecie całym! Że człowiek w tem mieście żyje i czuje tak samo, jak szumią drzewa, jak rośnie trawa, jak kwitną polne badyle, że obraz tego nienapatrzonego kraju jest taki zgodny z jego wewnętrzną jaźnią, przenika ją nawskroś swą treścią i bierze od niej wzajem jakieś bratnie dopełnienie w miłującem przymierzu... Oczy szybują jak ptaki podniebne, ramiona zaciskają się gorącym chwytem, myśli podniosłe oczyszczają serce z kurzu i pleśni, dusza obchodzi święto wiecznych zaślubin... O Wilno!... O Litwo!...

Rwie się serce do serca miasta miłego. Porzućmy sosnowe szumy Ponar i żółte osypiska Karolinek, wejdźmy przez ulicę Zakretową i zatrzymajmy się na Małej Pohulance, gdzieś w okolicach ulicy Teatralnej lub gimnazjum Zygmunta Augusta. Spójrzmy wdół — ujrzymy już zbliska, u nóg naszych wezbrane zielenią miasto, rozścielone w dolinie i pnące się po zboczach bogatą różnolitością barw i kształtów. I znowu zagrają dzwonnice górną melodję, świecąc w słońcu i wznosząc się chorągwianą gęstwiną, znowu będą odprawiały jakieś nieustające nabożeństwo zespalania ziemi z niebem. Kościoły, zda się, dzwonią we wszystkie dzwony, wołają głosami i myślami wszystkiego ludu, strzelistym wzlotem wyrażają wszystkie jego pragnienia i tęsknoty. Dzwonią bez przerwy i niosą w podniebie wieść o kamiennej i żywej piękności miasta, świadectwo jego cichej i wiernej mocy... Ten refren dzwoniących w niebo świątyń będzie się powtarzał wszędzie, dokąd podąży wzrok. Wilno dzwoni, gra i śpiewa kościelnemi szczytami, uśmiecha się rozkwitem swych ogrodów, rumieni się czerwienią dachów, wdzięczy się wzorzystością gór i rzek — i chwyta za serce każdego, w kim bije serce zdolne do kochania. Wróżebnie dzwonią serca wileńskich dzwonów gromkiem wołaniem: byłyśmy — jesteśmy — będziemy!...

— — — — — — — — — — — —

Ażeby spojrzeć Wilnu oko w oko, trzeba ku wieczorowi wejść na wierzchołek wieży Świętego Jana, tego najwyższego wzniesienia w śródmieściu. Obszerne wnętrze ostatniego piętra wieży ma ażurowe okna i dookolne obejście zewnętrzne, otoczone kutą balustradą. W letni wieczór ujrzymy stamtąd na zachodzie płową rozchwieję dymów, ścielących się nad zamglonem morzem dachów w różowej poświacie. Widnokrąg dalszy obrzeża czarnofjoletowa grań lasów; zaznacza krańce miasta i snuje wieczorną opowieść o bliskiej wsi, o wąwozistych polach Karolinek i Zameczka, o borach Zakretu i Ponar, o stromej rzeźbie doliny rzecznej, o wszystkich rozkosznych niespodziankach przyrody, co się przyczaiła tuż pod miastem i czeka o zapadającym zmierzchu, jak stęskniona dziewczyna na swego kochanka, by jej dopadł, by ją upieścił wzrokiem i pochwycił w miłujące posiadanie. Słodko jest wiedzieć, że „ona" jest taka bliska, taka piękna, taka bezgranicznie oddana, że wystarczy kilku kroków, by się znaleźć z nią twarzą w twarz, zapomnieć o chwilach rozłąki i znów poczuć się szczęśliwym, bo powróconym w jej czarowne objęcia.

Taki będzie widok zachodu z dzwonnicy Świętojańskiej. Ale w tej wieczornej godzinie przemożnie pociągnie wzrok strona południowo-wschodnia widnokręgu, którą malują i kraszą pożegnalne promienie niskiego słońca. Do tej dzielnicy oczy przylgną same i ogarną każdy jej szczegół. Wnikną przez połamaną rudziznę dachówek w siną cienistość ulicy Zamkowej, podobnej do głębokie-

go kanału, prześlizgną się po fasadach domów kapitulnych, by się oprzeć na zielonych czubach gór z ośmioboczną bryłą baszty zamkowej i z różową jasnością trzech krzyży, panujących nad amfiteatrem Popowszczyzny. Tam znowu „Ona”, wieczna kusicielka-przyroda, skupiła swoje kapryśne wdzięki i rozpiętrzyła je tarasami zdradliwych zasadzek, by przykuć wzrok i pojmać w niewolę wszystkie czucia. Ale tym razem daremnie: wzrok spotka się ze spoczynkiem skrzydlatych aniołów na szczycie Świętego Jana, muśnie załomy czerwonego rozlewu dachów i zewrze się z potrójnym cudem kościołów, splecionych fasadami w jedną rozżarzoną monstrancję, opartą o płowe osypiska Popowszczyzny. Zewrze się z nią wielbiąco, utonie w jej płomienistości, zdradzi dla niej wszystko i będzie trwał w urzeczeniu, aż nie zajdzie słońce. Będzie podziwiał, jak z jednej ukrytej łodygi wyrastają trzy różane kwiaty — Święta Anna, Bernardyni i Święty Michał, jak sczerwienionemi szczytami wieńczą wzgórza, a krzyżami piszą na niebie ogniste „*Sursum corda*”! To jest pieśń wieczorna Wilna, lepiej znana gołębiom, niż ludziom. Ostatni uśmiech słońca na szczytach kościelnych... Różana chwała na wysokościach...

Kościoły są wileńskie, ale należą nietylko do miasta: wznoszą się nad jego ludem, przyrodą i krajobrazem, wtapiają się sylwetami w wysokie niebo i stamtąd spoglądają na cały kraj. A zespolone z nim w jedno wzniesienie myśli, dają świadectwo w płomienistej glorji zachodu o mieście cudownem, nie znającem rozdziału między dziełem bożem a tworem ludzkim, o mieście, którego stary kształt architektoniczny jest ukojeniem dla oka i myśli i obudza w duszy „harmonję, a nie mękę” [1]), bo nie przeciwstawia się przyrodzie, nie zagłusza jej ani podbija, lecz wiąże się z nią w akord dźwięczny i radośnie zgodny.

I oto żegna się wieczorne słońce z grodem wileńskim. Zapalają się okna tęczową iskrzytością, łuna różowi piasczyste urwiska nad zakolem Wilenki, zgłuszonemi echami tętnią ulice, a kiedy już słońce utonie w borze zakretowym i pogasną rumieńce na ceglastych zrębach, na grudzie dachówek, na kamiennych czołach świątyń, wtedy miasto otula się szczelniej płaszczem mgławej siności, a niebo ponad niem powtarza rumiane różańce wieczornych pacierzy wileńskich.

Wtedy jest pora zejść z dzwonnicy, płosząc gołębie noclegi i wstąpić o zapadającej nocy na opustoszałe podwórze uniwersytetu. Tam, w dziedzińcu Skargi, księżycowe światło łamie się w łańcuchach arkad i pogłębia ich mroczną rytmikę; od placu Napoleona tarcza wieży zegarowej świeci na podobieństwo czerwono wschodzącej pełni, w dziedzińcu Sarbiewskiego jakieś czuwające okno w górnej wnęce migoce, niby lampa ofiarna kościelnego ołtarza. Od dziedzińca Poczobutta wyniośle krzesze się fronton Świętego Jana i wywyższa się w niebo wielkim ramienistym relikwjarzem. Wzniesione oczy ledwie zdołają dosięgnąć jego szczytu i błądzą po smukłych kolumnach i kwiecistych głowicach, ulatujących wzwyż mgławemi zarysami. Łukowe bramy i krużganki czernieją tajemniczą głębią dookoła zalanych księżycem wirydarzy. Myśl wieków spoczywa, zaklęta w kamienne formy nieśmiertelnego piękna. Wtedy trzeba posłuchać, co te sędziwe mury szepcą o cudnej odnowie życia w nieustannych przemianach, w kolejach bolesnych strat i weselnych narodzin; o mądrem założeniu batorowem, o mickiewiczowskiem haśle „ojczyzny, nauki, cnoty”, o długiej nocy niewoli i pohańbnienia, o polskiej wiośnie na krwawych ugorach wojny, o nowym rozkwicie tych murów, które wszystko widziały i wszystko przetrwały...

A stamtąd trzeba pójść pod Katedrę i gdy noc uciszy miasto, a księżyc zacznie muskać kolumnowe bryły frontonu—wejść pod ciemny strop portyku i spojrzeć przed siebie. Ukojne smugi księżycowej bieli będą przerzynały mrok i spływały srebrną rzeką po stopniach, a ogromne słupy dźwigną się tytanicznym podrzutem, jak budowy olbrzymów, podpierające niebo. Śpiące miasto spłaszczy się i zniknie wobec tej kolumnowej wielkości, a zegar katedralnej wieży, głosem ojcowskiej przestrogi, głosem słuchanym przez tyle pokoleń, będzie wybijał uroczyste, wyroczne godziny...

Ale od Katedry dokądże pójdziemy w tej nocnej wędrówce, jeśli nie do kaplicy Ostrobramskiej, której warowne okole rozwartemi ramionami przyjmuje łaskawie każdego przychodzącego? Ta jedyna ocalała brama wileńska — to mistyczne wrota życia całego grodu; przez nią przybywa się doń zdaleka, na niej spoczywa pożegnalny wzrok odjeżdżającego, u jej świętego progu szukają ulgi i uciszenia wszystkie ludzkie serca, jej cudownemu obrazowi niosą cierpiący w ofierze srebrne serca wotów i własne, bólem skrwawione. Wszystko co żyje, kłoni się u stóp Matki Przenajświętszej i modli się do Niej, klęcząc na bruku ulicznym w tej otwartej świątyni, nakrytej niebieskim stropem. A Ona spogląda z góry dobrem, wierzącem wejrzeniem macierzystego oblicza na swoje dzieci, na cały lud wileński, czuwa nad niemi i nad grodem niechybną boską źrenicą. Wszystko przemija i ginie w kolejach losu i w przemianie czasu — Ona jedna jest wieczna, Miłościwa Królowa i Matka wileńskiej stolicy. Dokądże, jak nie do Niej, pójdziemy zakończyć nasz dzień, strawiony w poszukiwaniu ziemskiego piękna, by napić się ze źródła piękna boskiego.

Ulice po północy już są ciemne i puste, ostro tętnią w ciszy kroki rzadkich przechodniów, w łukach gęstnieje mrok, a przed zasłoniętym obrazem lampa wieczysta płonie czerwonem światełkiem. Obraz, choć niewidzialny, jest zawsze obecny, a opiekuńcze spojrzenie świętych oczu zawsze czujne, słodko przyzywające wędrowca do swej niezawodnej ostoi. Tam to — schylić się do brukowych głazów, ukryć się we framudze muru i szeptać słowa modlitwy, tej samej, którą się niegdyś powtarzało za matką w latach dziecięcej beztroski... Oprzeć czoło o zimny mur, zagłębić się w siebie, poczuć jak przelotna rzeczywistość znika i ustępuje miejsca powadze spraw wiecznych i zakończyć dzień przeżyć wileńskich w tej najwierniejszej warowni miasta, w tej świątyni pod wysokiem niebem, patrzącem wiecznemi gwiazdami...

JAN BUŁHAK

[1]) Norwid: „Błogosławione pieśni malinowe”.

NA WIDOWNI

Narodowa manja wielkości według dyrektora Bystronia. — Nauka nie uznaje rzeczy irracjonalnych. — Dwa razy dwa jest tylko cztery. — Jedynie w drodze kompromisu z sumieniem można coć dodać. — Patrjotyzm jako przeżytek wyobrażeń pierwotnych. — Rozbrajanie ducha narodu.

CZASY obecne w Polsce (która lubi się spóźniać z modą) popisują się pogardą dla uczuć narodowych i myślenia nacjonalistycznego. Wiemy, co się dzieje pod tym względem w stosunkach politycznych, w uzależnionej od pewnych koteryj prasie, nawet w literaturze. Z pomocą podąża też nauka, aby tę modę sankcjonować, uzasadnić racjonalistycznie. Znalazł w tej kampanji zastosowanie sceptyczny na punkcie narodowym entuzjasta uniwersalizmu, ślązak z pochodzenia, prof. Jan St. Bystroń, mianowany obecnie dyrektorem departamentu szkół wyższych w ministerjum oświecenia publicznego.

Dał się poznać z tej strony przed jedenastu laty, gdy ogłosił w jednym z miesięczników rozprawkę publicystyczną, mającą pozornie wszelkie cechy naukowości p. t. „Megalomanja narodowa". Obecnie uznał czasy za odpowiednie po temu, aby tę rozprawkę wydać w książce — z dodatkiem szeregu rozprawek nowych o tym samym objawie patologicznym ze strony odjemnej, mianowicie o ksenofobji. Książce obszernej, liczącej 272 strony, a wydanej w popularnem wydawnictwie firmy „Rój", dał tytuł „Megalomanja narodowa".

Za objawy patologiczne psychiki narodowej prof. Bystroń poczytuje wszystkie procesy idealizacyjne, towarzyszące formowaniu się i rozrastaniu jaźni narodowej. Oczywiście procesy tego typu odbywają się nie w drodze wymiany rozumowań logicznych i „kontraktu społecznego", lecz przez fermentowanie uczuciowe instynktów. Są one jednym z przejawów tego wielkiego procesu, który zwiemy „Życiem", a życie ma swoje tajemnice całkiem irracjonalne, zwłaszcza w formacjach duchowych tak złożonych, jak psychika narodowa. Dostępniejsze bywa poczuciu poetyckiemu i religijnemu, niż szkiełku uczonego racjonalisty. Można sobie wyobrazić, bez czytania książki prof. Bystronia, jakiemu ulega ono skarykaturowaniu, gdy je bierze na wykres logistyczny uczony, dumny z posiadania wiedzy, że dwa razy dwa jest cztery.

Pewna doza zarozumiałości, czy pychy (prof. Bystroń nazywa ją megalomanją) jest nieodłącznym pierwiastkiem (uczuciowej natury) poczucia osobowości, odrębności i niezależności. Jakże bliską obłędu była „megalomanja" Polaków w w. XIX, gdy nie zdając sobie sprawy ze swego upośledzenia dziejowego, snuli plany o niepodległości i potędze mocarstwowej! A jednak — pokazało się — była to psychika nie patologiczna, lecz życiodajna. I dlatego w r. 1924 rozprawa prof. Bystronia, przepojona naukową ironją na temat zarozumiałości polskiej, obudziła we mnie niesmak, nawet oburzenie[1]). Prof. Bystroń przytacza teraz w dopisku do swej rozprawy moją opinję, jako okaz megalomancji nacjonalistycznej. Jest to złośliwość, stosowana do ludzi, których się pomawia o obłęd: ich oburzenie złośliwy psychjatra podaje za nowy dowód zboczenia. Raczcie rozsądzić, czy jestem chory.

— — — — — — — — — — — —

Prof. Bystroń zajął się tą kwestją, przynaglony widokiem Europy, która według niego dąży do upadku z powodu manji nacjonalistycznej narodów. Teorje własnej wielkości podważyły „podstawy nauki, moralności, religji, a z drugiej strony rozpętały imperjalizm". Stąd pochodzi upadek kultury i państwo dąży ku kataklizmowi. Aby uzasadnić swój pogląd przebiegł dzieje cywilizacji ludzkości, poczynając od hordy, aż do naszych czasów, i stwierdził w sposób godny etnologa, że człowiek pierwotny uważał zawsze swoje środowisko za centrum świata. Środek ziemi okazywał się we wszystkich krajach: u Żydów i u Greków (Delfy), Francuzów, Anglików. Wszyscy zawsze wywodzili swoje plemię z kolebki świata. Podania, uzasadniane nieraz przez mędrków teoretycznie, wyprowadzały rodowody narodu z legendarnych krajów i czasów. Nas Polaków Dębołęcki w XVII wieku wywodził z raju od Adama, stamtąd też mowę polską. W czasach nowszych opowiadają dziwy o naszej przeszłości Rakowiecki, Maciejowski, Chodakowski, albo idealizują nasz byt jako sielankę (Brodziński). To samo zresztą robili Niemcy, bez poczucia miary, aż doprowadzili i siebie i świat do katastrofy.

W poczuciu wielkości narodowej przechował się najdłużej poganizm przez stwarzanie antropomorficzne bogów na obraz własny. Chrystjanizm usiłował postawić ideał bóstwa ponad bogami plemiennymi, ale ta koncepcja okazała się zbyt niedostępna większości ludzi. Każdy naród przywłaszcza sobie bóstwa. W imię Boga prowadzą się wojny, Joanna d'Arc królem Francji obwołuje Chrystusa, Polak Matkę Boską mianuje Królową Korony Polskiej. Narody myślą, jak chłop, że w niebie mówi się ich językiem i że Bóg zajmuje się wyłącznie ich losem. Stąd „cudy" Marny lub Wisły, stąd nacjonalizacja Boga. Przeradza się ta idea w przekonanie, że Bóg uczynił dany naród wybranym przez siebie, a potem człowiek wierzy w świetną przyszłość i misyjność narodu i kończy mesjanizmem.

„Rozwijając" — powiada — „konsekwentnie t e o r j ę (?) megalomanji narodowej, m u s i m y d o j ś ć do nacjonalizacji Boga lub deifikacji narodu, a więc do zaniku tych podstawowych pojęć religijnych i etycznych, na których wspiera się kultura europejska". „Nacjonalizm zabija to, co mogliśmy zdobyć przez chrystjanizm!"

W tych wnioskach i przepowiedniach powojennych można dopatrzeć się tendencji narzuconej światu naukowemu. Nauka ma udowodnić na strasznym przykładzie, że zasada narodu, jako podstawa układu politycznego świata, groźna jest dla życia cywilizacji. P. Bystroń podjął się udowodnić to po swojemu, w zbyt uproszczony sposób, pojmując mesjanizm jako szczyt megalomanji. Naśladowania Chrystusa nie trzeba nazywać manją wielkości.

Interesuje nas w tej chwili pytanie: czy uczony i myśliciel, zostawiony sobie w spokoju do obcowania z faktami i metodą naukową, mógłby dojść do wniosków, do jakich doszedł prof. Bystroń? Wniosek jego zaczyna się od słów: „Z g ł ę b o k i m s m u t k i e m patrzymy na tak obfite, a tragiczne żniwo" (powrót do epoki bogów ple-

[1]) Pisałem o tej rozprawie w „Przeglądzie Wszechpolskim, listopad 1924, p. t. „Rozbrajanie duchowe narodu". To samo w książce „Dyskusje", Poznań 1924.

miennych i t. d.). Uczony reaguje na fakty uczuciowo. Widzi bujny rozwój narodów, „rozpętanie nacjonalizmu". „Być może" — powiada — „era zwycięskiego nacjonalizmu zdoła stworzyć ncwe społeczeństwa, silniejsze i zdrowsze"... On sam jest pełen sceptycyzmu, ale gdyby się nawet nadzieje nacjonalizmu ziściły, to dla tych, „którzy ukochali kulturę idealistyczną, na gruncie pojęć chrześcijańskich wyrosłą, będą te nowe twory zawsze dalekie, obce i niezrozumiałe".

Prof. Bystroń nie znalazł innego wyjścia z myślowej sytuacji, w jakiej się znalazł, jeno sceptycyzm i smutek. Kłopocze się, co będzie dalej. Możemy mu poradzić, żeby się nie kłopotał, bo to do uczonego nie należy. Coby prof. Bystroń powiedział o zmartwieniu fizyka, który zrobił wywód oparty na doświadczeniach, że istotnie ciążenie do środka ziemi jest prawem fizycznem, a na zakończenie dodał: „Z głębokim smutkiem to stwierdziłem, bo ileż przyjemniejsze byłoby ciążenie do księżyca!"

P. Bystroniowi to prawo uczuciowości narodowej przeszkadza, nie podoba się. Przez nie — powiada — „zatracamy wiarę we wszystko, co mogłoby być wielkie dla wszystkich ludzi". Ale bliżej tej straty nie określa.

— — — — — — — — — — — —

Dla nas, słuchaczy jego nauki, to jest smutne' że on się tak smuci, a zwłaszcza to, że uczuwa potrzebę publicystycznego regulowania pojęć, propagowania idej, nie mających związku z jego pracą naukową. W pracy tej badał system uczuciowy narodów i jego patologję, tymczasem w wieszczych wnioskach za punkt wyjścia bierze samo poczucie narodowe. Mówi o pewnych cechach, kwalifikujących zboczenie (megalomanja), a kończy, że mu się cała rzecz niepodoba.

Odrzucając nacjonalizm, odrzuca pojęcie nowoczesne narodu, jako podmiotu dziejów. Uczony musi być precyzyjny w używaniu określeń; to, co p. Bystroń mówi, świadczy, że naród ze swoją całą psychologją jest zawadą w dziejach ludzkości. Według niego wogóle przywiązanie do narodu jest sprzeczne z kulturą chrześcijańską. Jest tedy przeciwnikiem i jako uczony i jako chrześcijanin nacjonalizmowi, ale, jak człowiekowi szanującemu się przystoi, przeciwnikiem skłonnym do kompromisu:

„Stanowisko antynacjonalistyczne" — powiada on — „byłoby względnie proste i łatwe, gdyby nie pewne względy taktyczne". Ma ono swoje dobre strony, w jego imieniu dokonano niejednego aktu bohaterstwa czy poświęcenia. Przydało się zwłaszcza artystom, „wzbogacając kulturę nowemi motywami".

Wiara w naród jest według p. Bystronia, bądź co bądź ludowym, wulgarnym pierwiastkiem. Są motywy wyższe. Jakie — bliżej nie określa.

„Poglądy nacjonalistyczne są najwidoczniej potrzebne (doskonałe jest to „najwidoczniej" w ustach uczonego) i jakkolwiek z wysokich stanowisk (?) patrząc, należałoby je bezwzględnie potępić, niemniej jednak trzeba wejść w kompromis z życiem; podobnież z punktu widzenia praktycznego Kościół toleruje nieraz prymitywne sposoby podtrzymania wiary wśród ludu".

„Cała wielka sztuka życia polega tu na dużem poczuciu miary i taktu; trzeba owe rzeczy popularne, konieczne taktycznie, uważać jako *malum necessarium* i żyć w kompromisie z rzeczywistością, ale z drugiej strony nie należy zatracać nigdy z oczu wielkich ideałów"...

Autor nie odczuwa upokorzenia, że myśl jego szuka ratunku w kompromisie i chwali się tem, jako manewrem taktycznym. Skoro stwierdził jakieś prawo przyrodnicze, skoro wie, że ono jest potrzebne do życia, skoro stwierdza, że jest „*necessarium*", to jakież to „wysokie stanowisko" przeszkadza mu do tego prawa się zniżyć? Zadużo mówi o jakiemś swojem stanowisku wysokiem, a jednocześnie zamało. Poprostu mistyfikuje nas.

Naród niema innych uczuć, tylko te, które daje z siebie jednostka. Ona jest reprezentantką psychologji narodu. Gdyby p. Bystroń wszystkim jednostkom w narodzie wybił z serca miłość i wiarę, która idealizuje i powiększa rzeczywistość, to oczywiście 'nie byłoby narodu. Szczęściem, że tego nie zdoła. Podobny jest racjonaliście, któryby, patrząc na miłość dziecka, martwił się, że dziecko jest głupie i matkę „ubóstwia", podczas gdy objektywnie biorąc, to pospolita kobieta. Cóż łatwiejszego dla racjonalisty, jak drwić z megalomanji kochanka, który w zwykłej dziewczynie znajduje „skarb", mówi do niej „aniele" i t. p.; jakże głupi jest chłopiec ze wsi, który w mieście bogatem kolegom swoim opowiada o swoim domu niestworzone rzeczy, jako o raju; albo ten dorosły człowiek, który utrzymuje uparcie, że najpiękniejszem miastem w Polsce jest Włocławek, w którym on przechodził szkołę! Cóż prostszego, jak wyśmiać poetów, nasłuchujących nad morzem, czy kto z kraju nie woła, wyszydzić latarnika sienkiewiczowskiego, który usycha z nostalgji, a zwłaszcza zgromić Mickiewicza za mesjanizm.

Może to ulży smutkowi autora, gdy mu przypomnę, że w Polsce powszechniejszym od manji wielkości jest objaw mikromanji narodowej. W Polsce ludzie przyjmują z pokorą, gdy im się powie, że są „narodem idjotów", w Polsce zdobywa się sławę dzięki uznaniu obcych, w Polsce za szczyt rozsądku politycznego, nawet patrjotyzmu, uważane jest samozaparcie, garnące do domu obcych i oddające obcym chleb od ust odjęty, w Polsce konstytucja nie wymienia wyrazu „naród", w Polsce za zbrodnię poczytana jest ksenofobja, mikromanja zaś narodowa prowadzi do największych zaszczytów, w Polsce... Czyż mam dalej pocieszać w ten sposób prof. Bystronia? Nie smućmy się, że inni wierzą w naród i kochają go do przesady. My wolni jesteśmy od tego zarzutu. Śmiejmy się, kogo stać na to!

P. Bystroniowi nie z tego robię zarzut, że trzyma się ram ciasnych, lecz, że potrzebę prawdy naukowej podporządkowuje jakimś celom ubocznym i bawi się w karygodną ze stanowiska naukowego publicystykę.

Jakieś względy uboczne, które nie powinny mieć wpływu na naukę, zatrzymały na katedrach polskich rozwój socjologji nowożytnej, opartej na badaniu świadomości zbiorowej. Przedmiot badań stał się niebezpieczny; na drodze stanęło pojęcie narodu, jako realnego ustroju psychicznego, właśnie wtedy, gdy w widokach uniwersalizmu leżało zaprzeczenie realności i konieczności tego faktu.

Kto ma z drogi ustąpić: życie samo, czy doktryna? P. Bystroń krakowskim targiem proponuje kompromis; ze względów taktycznych radzi tolerować rzeczywistość, salwując jednak duszę myśleniem o ideałach „wyższych", bliżej nieokreślonych.

— — — — — — — — — — — —

Dlaczego czytamy te wywody z niesmakiem? Powiem otwarcie: na mnie robią one wrażenie

obłudy. Pod tem wrażeniem nazwałem stanowisko prof. Bystronia niemoralnem — i trudno mi to cofnąć. Pretekstem zainteresowań naukowych pokrywa on tendencję wychowawczo-polityczną moralnego rozbrajania „grupy etnicznej". Pod pretekstem psychjatrycznym leczenia z megalomanji ukrywa pogardę naukową wogóle do psychiki narodowej, stanowiącej jakby pancerz odrębności i odporności. Cała książka przepojona jest *persiflage*'m tego zabobonu, z jakim uczucie narodowe traktuje odrębność swej grupy.

Prof. Bystroń nie tai swych tendencyj politycznych. Psychiczne naładowanie społeczeństwa poczuciem odrębności sprzyja wojowniczości. „Podobnie jak wyszkolenie wojskowe większej części ludności i ogromne zapasy materjałów wojennych każdej chwili umożliwiają wojnę, tak też przygotowanie myślowe szerokich warstw stanowić będzie jeszcze przez długie lata stałe niebezpieczeństwo dla naszej kultury" (s. 30). Psychika narodowa przez samo dojrzenie do stanu świadomości (nacjonalizm) jest wrogiem kultury.

Zróbmy nawias. Równie dobrze możnaby za wroga kultury (tej naukowej) uznać sztukę i wogóle pretensje ludzkie do ideału piękna. Bo czyż to nie absurd ze stanowiska naukowego idealizować jako coś pięknego, głowę ludzką? W gruncie rzeczy, czy może być coś obrzydliwszego, jak czerep z pięciu otworami w twarzy, owłosiony, powleczony skórą na tłuszczu i t. p.! Ale jakoś cudownie udało się sztuce i psychologji piękna uniknąć masakry ze strony racjonalizmu „naukowego". Ocaliła tę dziedzinę ta okoliczność, że można ją, chociaż z trudem, wydzielić w funkcję niezależną od życia uczuć religijnych i narodowych. Sztuka życia narodowego natomiast atakowana jest od korzenia.

Prof. Bystroń w swoim systemie socjologicznym nie znajduje miejsca dla takiego faktu, jak uczucie religijne, które na „odcinku" spraw ziemskich musi się łączyć z uczuciem idealizacyjno-patrjotycznem. Jest to defekt uczoności, ale za defekt moralności intelektualnej uważam, gdy uczony racjonalista ze względów taktycznych zasłania się ideą chrześcijańską, idąc do ataku na nacjonalizm. Według prof. Bystronia patrjotyzm, łączący się z uczuciem religijnem, popełnia grzech mieszania *sacra profanis*. „Człowiek w uzasadnieniu wielkości swego narodu wyolbrzymia go w twór nadludzki"... „Że myśli w ten sposób człowiek pierwotny, dziwić się nie możemy. Smutne natomiast refleksje przyjść nam muszą, gdy widzimy, jak jeszcze przeżytki tych dawnych epok tkwią głęboko w współczesnem myśleniu!" (s. 31). Biedny przeżytek ten Mickiewicz!

Mnie się wydaje, że prof. Bystroń sam jest przeżytkiem, jako myśliciel. Takie prymitywy racjonalizmu umysłowość polska przeżywała przed pół wiekiem w czasach pozytywizmu, kiedy się karmiła Spencerem, Draperem, wykładami Świętochowskiego o prawach moralności i t. p. Tę samą metodę pogardy naukowej, „zdziwienia" i „smutku" stosował Draper, ucząc nas patrzeć na dzieje stosunku wiary do rozumu. Mnie wydaje się defektem intelektualnym (moralnym czy naukowym), gdy uczony wpada w zatarg z faktami psychologicznemi — dziwi się i smuci. Jakaż doktryna, którą uczony podejmuje się propagować w ten sposób, opłaci mu koszta takiej sromotnej wobec faktów kapitulacji? Nie można przecież pychą, pod hasłem „tem gorzej dla faktów", przebijać się przez naukę.

Zagadnienie, które porusza prof. Bystroń, nie jest bynajmniej etnologiczne w tej rozciągłości. Popełnia błąd, stosując metodę antropologiczną przeżytków do zjawisk bytu wogóle. Człowiek cały, jeśli o to chodzi — jest „przeżytkiem" ze swoją naturą, ze swoim duchem, ale przecież nie na to, żeby z niego czynił igraszki etnolog, wytwarzający sobie fikcję, że sam stoi ponad narodem i, patrząc na niego z politowaniem czy smutkiem, tylko ze względów taktycznych decyduje się ten fakt tolerować ze swojego „wysokiego stanowiska".

Mojem zdaniem takie stanowisko wolnomyślicielskie, przypisujące sobie reprezentację całej ludzkości poza więzią psychiki narodowej, jest objawem megalomanji osobistej, z której nie rozgrzesza ani moralność, ani nauka.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

Zespół ludzi stanowiących dziś warstwę kierowniczą w Polsce łączą więzy rozmaitego rodzaju oprócz jednego: jasno i konsekwentnie wytyczonej myśli politycznej. To też w takiej sytuacji najlepszą bodaj koncepcją okazało się utworzenie B. B. W. R., jako organizacji ponadpartyjnej. „Najlepszą", prawda, ale z pośród całego szeregu innych, równie tandetnych.

Spoiwem miała być współpraca. Wiele włożono wysiłku, ażeby nosiła ona cechy entuzjazmu. Podniecano się hasłem „radosnej twórczości"...

Z biegiem niedługiego zresztą czasu na ponadpartyjnem bloku poczęły się rysować coraz to bardziej widoczne szczerby. Raz, wraz dochodziły wieści o wewnętrznych rozterkach i towarzyszących im wysiłkach celem ratowania sytuacji. Wieści te były starannie i umiejętnie ukrywane.

Ostatnie wyrzucenie poza ramy bloku majora Polakiewicza, wystąpienie Tytusa Filipowicza, wrzenie w związkach b. peowiaków, tworzenie groteskowych państwowo-narodowych radykałów Everta, starcie konserwatystów z ministrem Poniatowskim— wszystko to mówi bardzo wiele. Nie będziemy dzisiaj wchodzili w istotę zjawiska, zajmiemy się jedynie bardzo charakterystycznym przejawem tych wewnętrznych niepokojów sanacyjnych, a mianowicie pozą walki, którą każda z owych grup stara się przybrać. Oddawna już występował w niej „Legjon Młodych", „bunt" głosili młodzi konserwatyści, wciąż zapewnia o swojem bojowem stanowisku oportunistyczny Związek Młodych Narodowców, dzisiaj wreszcie występują ci wszyscy. Wiadome jest, że obecnie bardziej jest do twarzy z hasłem walki, aniżeli współpracy...

Twierdzą niektórzy, że w takiej sytuacji człowiek, przeciętny człowiek straci głowę i niezorjentuje się w komplikującem się wciąż (mimo, iż czasy „partyjnictwa" minęły) życiu politycznem. Niema obawy. „Szary człowiek" ma swój uczciwy chłopski rozum i wieloletnie gospodarskie doświadczenie — potrafi bez trudu odróżnić plewy od ziarna.

HASŁA NACJONALISTYCZNE POCIĄGAJĄ DZISIAJ NAJBARDZIEJ, radykalne nie wyszły jeszcze z obiegu, a państwowe (jeśli się tworzy jedną z organizacyj w łonie... bezpartyjnego bloku) są nakazane. Powstały więc przed kilkunastoma dniami nowy odłam Everta jest jakby syntezą (czytaj kompilacją) wszystkich odcieni tych haseł. Nazwa: radykali państwowcy narodowego frontu młodych przy partji pracy bezpartyjnego bloku współpracy z rządem. Inicjał więc ma liter czternaście...

Sięgnijmy do treści. Najpierw przykład logicznego myślenia:

§ 13. Wysuwając zasadę ponadnarodowej polityki państwowej, NFM (Narodowy Front Młodych) uznaje za konieczne utworzenie organizacji narodowej, celem podejmowania zadań, leżących ściśle w interesach narodowych.

Konia z rzędem temu, kto zrozumie...

Sformułowanie stosunku do mniejszości:

Hegemonja Narodu Polskiego osiągnięta być może nie drogą ograniczenia praw mniejszości, ale drogą samoograniczenia się Narodu Polskiego w imię własnego dobra (?!).

Rewja haseł:

§ 3. Narodowy Front Młodych wysuwa hasło władczego Egoizmu Państwowego, racjonalnego wzrostu kompetencji Państwa w życiu codziennem, hierarchji i posłuchu, neoimperjalizmu, neomilitaryzmu i neonacjonalizmu.

Zapewniamy ze swej strony, że na te neo-ny reklamowe nie wiele się schwyci klijentów.

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Akademja Górnicza w Krakowie ogłasza teraz konkurs na tekst i muzykę pieśni górniczych oraz hutniczych, które należy nadsyłać pod adresem prof. dr. Walerego Goetla w Krakowie, ul. Wybickiego 1a. Termin konkursu upływa z dniem 15 maja roku bieżącego.

Suma nagród wynosi 2.500 zł. za tekst i tyleż za muzykę. Więc razem zł. 5.000. Z tego stworzy się po 10 nagród literackich i tyleż muzycznych. Informacyj co do charakteru pieśni, ich rozmiarów i t. d. udzielać będzie sekretarjat konkursu (Kraków, Stowarzyszenie Studentów Akademji Górniczej, Aleja Mickiewicza 30). Literaci, chcący wziąć udział w konkursie, będą mogli w razie życzenia zapoznać się z życiem i pracą górników oraz hutników w różnych działach przemysłu.

Naprzód będzie rozstrzygnięty konkurs literacki, a to przez komitet, do którego wchodzą pp. Marja Pawlikowska-Jasnorzewska, L. H. Morstin, prof. U. J. dr. St. Pigoń, inż. J. Naturski, prezes Koła Krakowskiego Stowarzyszenia Inżynierów Górniczych i Hutniczych i prof. Akademji Górniczej dr. Walery Goetel. Przewodnictwo sądu konkursowego objął Karol Hubert Rostworowski.

*

Znany powszechnie artysta wileński Jan Bułhak, autor „Fotografiki”, „Techniki bromowej” i „Bromografiki”, przystępuje obecnie do wydania nowej książki p. t. „Estetyka światła”. Książka ta objętością i zakresem treści przewyższa tamte i utworzy duży, ozdobny tom o 250 stronicach tekstu i 48 ilustracjach z negatywów autora. Omówi wyczerpująco w cyklu studjów podstawowych wszystkie zagadnienia fotografiki i estetyki fotograficznej, jak np. narodowość w fotografice, twórczość fotograficzną w krajobrazie, motyw rysunkowy i malarski, elementy kompozycji, wybór sprzętu fotograficznego, nowoczesny kierunek neorealistycznej i wiele spraw kultury estetycznej, zbyt mało znanych w Polsce.

Przedpłata na „Estetykę światła” wynosi 8 zł. Nadsyłający tę kwotę pod adresem autora — wydawcy J. Bułhaka (Wilno, ul. Orzeszkowej 3), przed upływem czerwca r. b., otrzyma książkę *franco* bezpośrednio po wyjściu z druku, najpóźniej na jesieni r. b. Z dniem 1 lipca prenumerata będzie zamknięta, a cena księgarska znacznie podwyższona.

Nie wątpimy, że w szeregach prenumeratorów staną licznie nietylko fotografujący, ale i ci wszyscy, którym są nieobojętne sprawy estetyki i kultury graficznej.

*

Poza oficjalnemi nagrodami literackiemi pod protektoratem Akademji Literatury istnieją prywatne. Może to się przyczyni do zorjentowania opinji w hierarchji talentów, jeśli zanotujemy dwa wieńce laurowe: w jednem z orzeczeń otrzymał nagrodę (2.000 zł.) poeta Wojciech Bąk, w drugiem (500 zł.) Marja Pawlikowska (Jasnorzewska).

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Od średniowiecza w epokę dzisiejszej motoryzacji i radjofonizacji skok to chyba duży. Pani Zofja Kossak-Szczucka jednakże już po raz drugi niemal bez trudności dokonywa tego skoku. Przed paroma laty wydała jednocześnie „Legnickie pole” i „Dzień dzisiejszy”, teraz zaś jednocześnie z „Krzyżowcami” ogłasza powieść „S. O. S.” (nakł. księg. św. Wojciecha). Czy jednak istotnie odległość to taka wielka? Może niekoniecznie. Wszak samo hasło *Save Our Souls*—ratujcie nasze dusze! — brzmi jakby odgłosem wieków średnich. Napis „Ratuj swoją duszę” wita przecie przybysza w najbardziej średniowiecznym z polskich kościołów, kościele augustjańskim św. Katarzyny w Krakowie...

W powieści Szczuckiej jest i przedstawiciel średniowiecza, zabłąkany w naszą epokę. Jest nim ksiądz Michalak, prawy następca Jana Kantego, księdza Boduena i brata Alberta, opiekun i ratownik ludzi biednych, bezdomnych, odmawiający sobie wszystkiego, byle tylko osiągnąć cel upragniony: zbudowanie wielkiego schroniska i domu pracy. W dziele tem doznaje przeszkód wielu ze strony ludzi złej woli, którzy zeń szydzą, zniesławiają go, wkońcu nawet oczerniają, wyzyskując niepomyślny dlań zbieg okoliczności. Dobroduszny ksiądz bowiem w swej nieświadomości udzielił pokoju na piętrze swego domku dwom rzekomym studentom, którzy z zakupionego przez niego placu jęli robić podkop do banku. Ale prawda — jak to bywa — wyszła z ust dziecka, a raczej z trzech liter S. O. S., mimowolnie nakreślonych przez dziecko uczące się pisma...

Drugą, obok księdza Michalaka, postacią piękną, drugim reprezentantem idei autorki, jest *speaker* radjowy Radnowski (nb. autorka słusznie zapytuje, czy nie dałoby się jego angielskiego tytułu spolszczyć). Obaj — każdy na inny sposób — przemawiają do serc tysięcy ludzi i łączą te serca w bratni związek chrześcijański. Tego narysowała autorka postać jego siostry Koty, światowej — a jakże naiwnej — kobiety dzisiejszej. Nie poskąpiła tu i bystrego humoru; przymiot ten mogłaby częściej w powieściach swych z powodzeniem okazywać. Wartka akcja, barwny i zamaszysty—prawdziwie Kossakowski — sposób malowania sytuacyj i postaci, a wreszcie kryształowy język (bez sztuczek słownikarskich, jakie spotykaliśmy dawniej), zalecają tę miłą, głęboką i pożyteczną lekturę. (J. B.)

MUZYKA

FILHARMONJA — Irena Dubiska wykonała koncert skrzypcowy Karłowicza. Grała z ogromnym wyrazem i prawdziwą kulturą. Technicznie, jak zwykle: czysto, spokojnie, nie tylko bez zarzutu, ale nawet, co tu dużo mówić — świetnie. To też koncert ten, zdradzający późniejsze całkowite oddanie się autora muzyce symfonicznej, gdy ostatecznie zdecydował się porzucić karjerę wirtuozowską, stał się punktem centralnym piątkowego wieczoru, oprócz symfonji Maklakiewicza „Święty Boże”, dawno już oczekiwanej Dzisiaj, od pierwszego usłyszenia tej symfonji, dzieła młodocianego, jeśli idzie o wiek, a zupełnie dojrzałego, jeśli idzie o wartość, upływa już dobrych kilka lat. Możemy więc z perspektywy czasu i zdala od namiętnych, gwałtownych nawet dyskusyj (przypomniała je Filharmonja, przytaczając urywki entuzjastycznej krytyki Szymanowskiego i bijącej bez opamiętania Wertheima), ocenić utwór i zestawić go zarówno z późniejszą twórczością kompozytora, jak i rozwojem młodej muzyki polskiej wogóle. Bo w „Święty Boże” widziano drogę, po której miała ona kroczyć. Kierunek ten cechowała rasowa polskość, połączona z najnowszemi zdobyczami formalnemi. Tem się odznaczała symfonja uprawniająca rzeczywiście do stawiania

jaknajbardziej pomyślnych horoskopów. I horoskopy nie zawiodły. Młode muzyczne pokolenie w dziedzinie twórczej rozwija się tak, jak się przypuszczało i jak powinno było pójść. Trzeba tu zaznaczyć, że nie znajduje się ono w kręgu niebezpieczeństwa, jakie stwarza imponowanie czegoś obcego. Jeśli jaka, to tylko rosyjska (ta emigrancka) muzyka może brać siłą swego wyrazu i pomysłowością koncepcyj. Inne nie wyszły jeszcze poza ideowość, zrodzoną w pławieniu się w zachwycie nad zjawiskiem miasta. Trzeba przyznać, że ów zachwyt mocno już osłabł, ale pozytywnego wyjścia jeszcze nie znaleziono, mimo zrozumiałych tendencyj i wysiłków. Wyczuwa się tylko jakiś pęd ku prostocie. Niektórzy szukają jej w muzyce klasycznej.

Musimy przyznać, że na tem tle znajdujemy się w położeniu zupełnie odmiennem. Młoda muzyka polska odnalazła swój wyraz, ma nawet już dzisiaj swój odrębny charakter. „Święty Boże", jeśli idzie o całe pokolenie, nie zawiodło, a gdy idzie o samego Maklakiewicza? Tutaj ocena musi być surowsza. Maklakiewicz już po symfonji dał parę rzeczy, które trudno inaczej określić, jak mianem bardzo dobrych. Później jednak coś się zepsuło. Jeszcze później — wszystko zamilkło. Układ kolend, śpiewanych przez chór świętokrzyski, nie wzbudza zachwytu. Nowego „hymnu państwowego" również. „Tango symfoniczne" sam poddawał ostrej krytyce... Mimo wszystko, nie należy poddawać się zupełnie czarnym myślom. Jestem pewien, że po tym impasie, jakiemś opuszczeniu, będziemy mieli okazje, daj Boże częste, do stwierdzania mocy jego talentu, niewątpliwie ogromnego.

Symfonję, koncert skrzypcowy, uwerturę akademicką Brahmsa, oraz warjacje Maxa Regera na temat Mozarta (bardzo dobrze napisane), prowadził K a z i m i e r z W i ł k o m i r s k i. Młodemu, zdolnemu dyrygentowi przydałoby się nieco więcej skupienia celem pogłębienia interpretacji.

Odegranie Uwertury akademickiej „Brahmsa" napisanej dla jednego z uniwersytetów niemieckich, po otrzymaniu od niego honorowego doktoratu (utwór to przeplatany melodjami burszowskiemi, a zakończony pieśnią „*Gaudeamus*"), traktować można chyba tylko jako przejaw przyczynkarstwa Filharmoji. Cenne to niewątpliwie tendencje, o tym wypadku jednak zupełnie niepotrzebne.

W. NARUSZ

FILM

CAPITOL: „Antek Policmajster".
Światowid: „ABC miłości" reż. M. Waszyński.

Połączyłem recenzje obu tych filmów w jedno, gdyż reżyserowane są przez tego samego filmowca, w obu wszystko się wspiera na filarze naczelnej roli tego samego aktora (Dymszy), oba usiłują być utworami wesołemi (farsa i komedja) i wreszcie obfitując w b. podobne do siebie, a charakterystyczne dla naszej produkcji błędy, skłaniają do tych samych uwag.

Niektóre narody potrafiły wprowadzić do swych filmów typ postaci o rysach znamiennych komizmu, tak charakterystycznych, iż możnaby ją nazwać narodowym typem komika. Tak np. Amerykanie lubią oglądać w kinie typ niedojdy i taki tam najwięcej śmieszy, bo jest ich życiowem przeciwieństwem. Czesi — odwrotnie: wytworzyli sobie typ komika — spryciarza, który zyskuje sympatję widowni swą szczwaną przemyślnością, urzeczywistniając, chociaż na ekranie, ideały niejednego z czeskich „pepiczków". I my mamy aktora, który jest wprost stworzony do tego, by ucieleśnić na ekranie typ naszego *gavroche*'a, warszawskiego Antka. Aktor ten (Dymsza), w ręku utalentowanego reżysera, stałby się już dawno sławą europejską, w swoim zakresie. Ponieważ jednak dobry film decyduje o powodzeniu aktora, a nie tylko jego zdolności, niewiadomo jak prędko do tego dojdzie.

Reżyser powinien umieć operować aktorem i używać go tak, jak się używa innych filmowych elementów, dla zbudowania pewnej całości. U nas reżyser, zwłaszcza w takich filmach, umie tylko w y r ę c z a ć s i ę aktorem. Ktoś powiedział do mnie o Dymszy: „Eh, on się powtarza". Nic dziwnego, dlaczego reżyser każe mu zatykać sobą wszystkie luki w scenarjuszu i w reżyserji? Numer w kabarecie trwa kilkanaście minut, a film w kinie $1^1/_2$ godziny; jeżeli reżyser, na podstawie dokładnych wskazówek scenarjusza i swoich reżyserskich koncepcyj, nie podpowiada aktorowi, co ma robić, to ten, z konieczności, aby zapełnić potrzebną ilość metrów taśmy filmowej, powtarza raz po raz swój kilkunastominutowy numer, swe typowe chwyty, gierki i gesty. Dowcipna błazenada utalentowanego aktora, w ciągu kwadransa, może być rozkoszną igraszką; na przestrzeni półtorej godziny staje się piłą.

W „Antku Policmajstrze" starczyło inwencji autorom filmu akurat na początek: sceny na Kercelaku są żywe, tu aktor jest wmontowany w całość, o płynnej treści wzrokowej, a nie zmuszają go, by sam był osią wszystkiego i koncentrował na sobie uwagę widza. Dalej dowcipów istotnie filmowych brak, pomysłów brak, z akcją słabo, — więc, panie Dymsza, niechże pan zabawia ludzi jak umie!

By „ożywić" tempo i ukryć brak konstruktywnego rozwoju akcji z obrazu w obraz, aktorzy szarżują okropnie. Część filmu zapełnia parodja tanga i tu przypominamy sobie jakże inną, istotnie dowcipną, parodję tanga, z wiedeńskiej komedji filmowej, p. t. „Piotruś".

Zarzucano filmowi, że się opiera na znanym pomyśle „Rewizora" Gogola. To nie jest — mojem zdaniem — zarzut najistotniejszy, gdyż ten temat można uważać za klasyczny, który jako schemat da się rozbudowywać w rozmaitych kierunkach i odmianach. Tak np. gdy i tu, jak w „Rewizorze", do Dymszy - policmajstra przychodzi delegacja kupców, ten nie bierze od nich łapówek, tylko ogrywa ich w orła i reszkę, przy pomocy fałszywego rubla.

W „ABC miłości" niema już takiej szarży i gruboskórności, ton w tym utworze jest raczej komedjowy, a mógłby panować niepodzielnie przy większym wydobyciu dowcipu sytuacyjnego z fabuły. Nieliczne dowcipy są tu wybitnie niefilmowe i tkwią bez reszty w tekście słownym. Dobrze użyty jest pies i gdyby Dymsza był psem, również może by go dobrze i trafnie użyto, a tak — liczy się na jego aktorską inteligencję, która ma zastąpić inteligencję reżysera. Wiadomo jednak, że w filmie aktor to jeszcze nie wszystko.

Właściwie „ABC miłości" ma scenarjusz o kośćcu dostatecznie wyraźnym, tylko ten szkielet niepokryty jest dostatecznie miąższem istotnie filmowych pomysłów, zdolnych wypełnić całość utworu. Wszystko tu jest przydługą przygrywką do efektu końcowego i on dopiero ujawnia dynamikę wyrazu wartości naprawdę filmowych. Tu aktor staje się motorem, który puszcza w ruch całą treść wizualną ekranu.

Trzeba umieć wyzyskać dowcip sytuacyjny, kazać aktorowi wykonywać czynności (czasem jaknajpoważniej), z których treści dopiero dowcip wynika, a nie dopuszczać, by musiał dowcipkować jedynie miną i gestem.

KANDYD

ZMARLI

Ś. P. GUSTAW GWOZDECKI

W Paryżu w dn. 8 marca r. b. zmarł na atak serca polski artysta malarz Gustaw Gwozdecki, przeżywszy lat 50.

Przed wojną ś. p. Gwozdecki należał do kolonji artystycznej lwowskiej. Cieszył się sympatją i uznaniem starszego pokolenia malarzy, jak Sichulski, Pautsch i in.

Zmarły był znany w artystycznych kołach Paryża oraz w St. Zjednoczonych, gdzie wystawiał szereg swoich prac. Ostatnio Gwozdecki wystawiał w jesiennym salonie Paryża i przed kilku dniami urządził zbiorową wystawę swoich obrazów w galerji sztuki i artystów polskich w Paryżu.

W dn. 11 marca na cmentarzu Thiais odbył się pogrzeb malarza Gustawa Gwozdeckiego. Nad grobem przemawiał Jan Lechoń, podkreślając zasługi zmarłego dla sztuki polskiej. W pogrzebie wzięła udział kolonja artystyczna polska i francuska oraz przyjaciele zmarłego.

ERRATA: W poprzednim (10) zeszycie „Myśli Narodowej", w artykule p. t. „O niewolę sztuki", w czwartym wierszu drugiej szpalty str. 150, po słowach „w pierwszej nagrodzie" opuszczone zostało zdanie: „g o r z e j, n i ż b r a k r y s u n k u w t r z e c i e j n a g r o d z i e."

TYMIENIECKI O SOBIESKIM

W STARANNIE prowadzonem dziale kultury i sztuki „Kurjera Poznańskiego" (Nr. 111) ukazał się artykuł znakomitego historyka Kazimierza Tymienieckiego o wydanej w języku francuskim historji Polski prof. Wacława Sobieskiego p. t. *„Histooie de Pologne des origines a nos jours", traduit du polonais par le général Alexis de Pannache. Payot, Paris, 1934.*

Podajemy w urywkach opinję prof. Tymienieckiego.

Tom, liczy nieco ponad 300 stron, ukazał się w Paryżu w szeroko rozpowszechnionej *„Bibliothèque Historique"* znanego księgarza Payota. Mimowoli nasuwa się porównanie z innemi tomami tejże „Bibljoteki". Znajdują się tam prace z dziejów Francji, z natury rzeczy poświęcone zagadnieniom o bardziej ograniczonym zakresie, a obok tego zarysy dziejów państw obcych. Nie tylko zapalony miłośnik historji, ale każdy, kto chciałby pogłębić znajomość swoją jakiegoś kraju przez obeznanie się z głównemi faktami jego dziejów, z przyjemnością przeczyta w tym zbiorze np. *„Histoire de l'Espagne"* R. Ballestera lub nawet *„Histoire du Japon"* Katsourô Hara. Czytelnikowi polskiemu nieraz musiała przyjść do głowy myśl, dlaczego w tym poczytnym, nietylko we Francji, ale i poza jej granicami, zbiorze, niema również historji Polski. Lukę tę zapełnia właśnie książka Wacława Sobieskiego. Zadanie swoje spełnia jaknajlepiej. Jest to książka naprawdę poczytna i interesująca. Plastyczność stylu łączy się w niej z należytem pogłębieniem.

W ramach 300 stron niepodobna zawrzeć wszystkiego, co pragnęlibyśmy powiedzieć cudzoziemcom o naszej historji Wiele problemów, które pasjonować będą nietylko historyka z profesji i temperamentu, ale również wielu prawdziwych miłośników historji, zostanie z pewnością pominiętych. Trzeba jednak pamiętać o proporcjach. Nie znam zarysu, który mógłby uczynić zadość wszystkim postulatom wysuwanym ze strony specjalistów. Gdy taki specjalista wyrwie z zarysu jedną lub dwie strony tekstu i przystąpi do ich analizy z całym aparatem swej specjalnej wiedzy, to, rzecz zrozumiała, z łatwością odniesie triumf nad operowanym w ten sposób przeciwnikiem. Wacław Sobieski jest historykiem przedewszystkiem ostatnich Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych, do którego to okresu odnoszą się liczne i świetne jego monografje. W obecnym zarysie okres ten nabiera również specjalnej wagi, a sądzimy, że nie jest to ze szkodą dla obcego czytelnika.

W dziejach Piastowskich autor wysuwa na czoło zagadnienie niemieckie. Jest to słuszne. Zmaganie się Polski z Niemcami nie było jednak jedyną formą wzajemnych stosunków. Nie miejsce zresztą tutaj na szczegółową dysputę. Brzemienną w zagadnienia polityczne i kulturalne była epoka Jagiellonów. Tę niezrównaną epopeję naszych dziejów czyta się poprostu z zapartym oddechem, do czego przyczynia się w dużym stopniu kunszt stylu naszego autora. Wielkie epoki dziejów ludzkich miały jednak to do siebie, że często kryły się w nich zarodki wielkich również niebezpieczeństw. Złoty wiek Zygmunta Starego jest najlepszym tego przykładem. „Pierścień Jadwigi", przekazany Jagiellonom, wprowadził ich na szeroką widownię Europy środkowej, sięgającą Bałtyku z jednej i Adrjatyku z drugiej strony. Ale z początkiem w. XVI dynastja jest już w defensywie i to samo dotyczy Polski. Za Zygmunta Augusta wyłaniają się wielkie problemy historji wewnętrznej. Początki dziejów szlacheckiej Rzeczypospolitej i jej tragiczny konflikt z królami obieralnymi, w szczególności „krzyżowcem" i religjantem, ale nie politykiem, Zygmuntem III Wazą, wypełniają karty najlepszych rozdziałów książki. W przedstawieniu wojen w. XVII autor nie ustrzegł się od wpływu znanych wystąpień dr. O. Górki, których zasadność nie została dowiedzioną, a częściowo nawet obaloną jeszcze w ostatnich miesiącach. Wolny jest jednak od jego krańcowości. Czasy, rozpoczynające się wprowadzeniem na tron polski pierwszego Sasa, autor nazywa okresem królów „narzuconych". W charakterystyce Stanisława Augusta nie idzie za przeważającą dziś tendencją rehabilitacji lekkiego „króla Stasia". Tak samo dość wyraźnie odcina się od tych, którzy potępili powstania nasze w okresie porozbiorowym. Kończy książkę krótkim rzutem oka na dzieje Polski odrodzonej.

Synteza dziejowa Wacława Sobieskiego posiada pewne charakterystyczne cechy. Wpływ wybitnych jednostek wysuwa się przed działania mas. Autor bardziej „humanizuje" niż „socjologizuje". Żywość stylu nie dopuszcza djalektyki czy nawet dyskusji. Wielokrotnie oddziaływa silnie na czytelnika i to nie tylko na jego umysł, ale również na jego uczucie. Ale dzieje się to w ramach umiarkowanych i, można w zupełności powiedzieć, dozwolonych. Nie wyrzeka się, chciałoby się powiedzieć, działania historji jako sztuki. Hołduje starej Klio i nie odgradza się „snobistycznie" od środków zaczerpniętych z jej arsenału. Przekład, oddający dobrze żywość stylu, nie wolny jest jednak od omyłek. Tych nie można kłaść na karb autora. W spopularyzowaniu naszych dziejów na zachodzie autor zdobył sobie niewątpliwą zasługę. Należy mu się za to wdzięczność i słuszna ocena.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

NOWE KSIĄŻKI

Brensztejn Michał. Dionizy Paszkiewicz, pisarz polsko-litewski na Żmudzi. Wilno 1934. Tow. Pomocy nauk. im. Wróblewskich. S. 113.

Boguszewska H. i Kornacki J. Jadą wozy z cegłą. Powieść. Warszawa. Książnica-Atlas.

Stankowić Borisav. Nieczysta krew. Powieść. Przełożył Wiktor Bazielich. Warsz. 1935. Dom książki Pol.

Szemplińska Elżbieta. 18 spotkań. (Nowele). Książnica-Atlat.

Kowal-Lipiński Józef. Poznaj mój program uzdrowienia Rzpltej Polskiej. Katowice (1935). S. 78.

Kordyński Feliks. Sztadlan. Przyczynek do stosunków polsko-żydowskich w dawnej Polsce. Warsz. 1934. Odbitka z „Myśli Narodowej".

Lud, organ polskiego Tow. Ludoznawczego we Lwowie. Serja II. Zesz. 1—4 tomu XII.

Ruch Literacki. Warsz. grudzień 1934, (poświęcony Bolesławowi Prusowi).

Przegląd Powszechny, luty.

Stahl Zdzisław. Listy polityczne. Lwów 1935. S. 73.

Przegląd Współczesny, styczeń. Warszawa.

Tęcza. Poznań 1935,

Pamiętnik Literacki. Lwów 1935, tomu XXXI, zesz. 3—4.

Skiwski J. E. Na przełaj. Warsz. 1935. Gebethner i Wolff. S. 257.

Album młodej architektury. Warsz. 1934. Z ilustr.

Lorentowicz Jan. Spojrzenie wstecz. Warsz. 1935. Fundusz wyd. Wellicha. S. 352.

Mickiewicz Adam. Dzieła wszystkie. T. IV. Pan Tadeusz. Warszawa 1934. Nakładem Skarbu Rzpltej. S. 602.

Malinowski-Pobóg Wł. Józef Piłsudski, 1867—1901. W podziemiach konspiracji. Warsz. 1935. Gebethner i Wolff. S. 373.

Winiarski Bohdan. My i oni w walce o konstytucji. Poznań 1935. Str. 80.

NA MARGINESIE

Pogłębiacz rewolucji, redaktor obecnie prorządowego „Kurjera Porannego", p. Wojciech Stpiczyński, uspokaja „szarego człowieka", któremu kryzys burczy w brzuchu, takiemi aforyzmami:

„Marzenia o nieśmiertelnej duszy nie dadzą się w żaden sposób pogodzić z panowaniem żołądka nad rozumem, z prymatem racyj gospodarczych przed aspiracjami ducha, tających (?) wyjaśnienie zagadki o celach życia" (art. wstęp. 10.III).

Podobno powstała myśl utworzenia w ministerjum skarbu Departamentu Aspiracyj Ducha i Celów Życia. Dyrektorem byłby p. W. Stpiczyński. Przewidywany jest szereg posad w centrali i województwach, a dla pokrycia kosztów dodatek do podatku bibljotecznego.

*

Z powodu artykułu K. H. Rostworowskiego w „Gazecie Warszawskiej", omawiającego kwestję literatury żydowskiej w języku polskim, syjonistyczny „Nasz Przegląd" raz jeszcze oburza się na polskie społeczeństwo, że nie chce ono uznać za polską twórczości pp. Tuwimów, Słonimskich i t. p.

Osobliwy jest nacjonalizm żydowski... Jeżeli żydzi pisarzy owych uważają poprostu za renegatów, skądże ta tkliwość, dbałość o ich losy, skądże przedewszystkiem to staranie, aby Polacy przygarnęli ich do serca, traktowali z ufnością jako swoich?... Czy nam naprzykład zależałoby cokolwiek, aby Moskale traktowali z zaufaniem — majora Płuta?

*

Bodaj to zręczność... Tancerz żydowski z Paryża, p. Serge Lifar, który przyjechał na gościnne występy do Warszawy, został przez baletmistrza opery warszawskiej, p. Ciepłińskiego, publicznie spoliczkowany... I „nie stracił równowagi" — dodają z uznaniem „Wiadomości literackie", szeroko rozpisujące się o tem zdarzeniu...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM